NUMER 9. ROCZNIK I. WRZESIEŃ 1897

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi. (ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela. (ŚW. FRANCISZEK Salezy).

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku, dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stosownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA**

Odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy salezyańscy.

Na mocy Brewe Ojca św. PIUSA IX, *z dnia 9go maja 1876 r., każdy* **Pomocnik i Pomocnica** *salezyańska może zyskać wszystkie bez wyjątku odpusty, tak* **zupełne**, *jako i* **cząstkowe**, *których dostępują* **Tercyarze** *zakonu św. Franciszka z Asyżu.*

(*Zob.* Ustawy dla Pomocników salezyańskich, *str.* 18-28).

Prócz tego zyskać mogą **Pomocnicy** *nasi:*

a) *odpust* **zupełny** *raz na dzień, jeżeli odmówią trzecią część Różańca św. przed Najśw. Sakramentem, a w razie niemożności, przed krucyfiksem. — Odpust ten ofiarować mogą za dusze w czyscu cierpiące;*

b) *odpust* **zupełny** *za każdym razem, jak przystąpią do Komunii św.;*

c) *tyle odpustów* **zupełnych** *w ciągu dnia, ile razy na intencyą Ojca św. zmówią* 6 Ojcze nasz 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu.

Odpusty te, które można także ofiarować za dusze, w czyscu cierpiące, zyskać można **toties quoties**, *to znaczy: ile tylko razy odmówi się wyż podane modlitwy, na jakiembądź miejscu, nie potrzebując przytem zgoła przystępować do Sakramentów św., wystarczy bowiem być w stanie łaski Bożej;*

d) *odpust* **zupełny** *w każdą niedzielę i w dni poniżej wymienione, jeżeli wyspowiadawszy się w ciągu tygodnia i do Komunii św. przystąpiwszy jaki kościół albo kaplicę publiczną nawiedzą i tam na intencyą Ojca św. się pomodlą.*

Październik.

2. Św. Aniołów Stróżów.
Pierwsza niedziela października (3 paźdz.). Święto Matki Boskiej Rożańcowej.
4. Św. Franciszek z Asyżu.
Druga niedziela października (10 paźdz.). Święto Macierzyństwa Najśw. Maryi Panny.
Trzecia „ „ (17 paźdz.). „ Czystości „ „ „
19. Św. Piotr z Alkantary.
23. Św. Jan Kapistran.
28. Św. Apostołowie Szymon i Juda.

NIE STAWIAJCIE PRZESZKÓD tym, którzy się czują powołanymi do służby Bożej.

W *Oremus*, które Kościół św. odmawia w święto św. Michała Archanioła, modlimy się: *Deus, qui miro ordine Angelorum ministeria hominumque dispensas = Boże! który w przedziwnym porządku rozdzielasz służbę aniołom i ludziom.*

Słowa te, jak wiele jeszcze innych, w Piśmie św. zawartych, uczą nas, że Pan Bóg nietylko aniołów stworzył i przeznaczył do pełnienia służby na większą cześć i chwałę Swoją, ale że wybiera i powołuje do niej także ludzi, powierzając to jednemu, to drugiemu z nich, raz to, raz inne zadanie do wykonania, stosownie do niezbadanych swoich celów i wyroków. Ma zaś do tego, jako Pan nieba i ziemi, nieskończenie więcej prawa, aniżeli np. ojciec rodziny względem swoich synów, chlebodawca względem swoich sług, król względem swoich poddanych.

Nie zastanawiając się na razie nad faktem, że także do urzędów świeckich jest Stwórca Wszechmocny tym, który powołuje ludzi, twierdzimy, iż Pan Bóg ma zupełne prawo wybierać, oraz powoływać kogobądź ze stworzeń rozumnych (ludzi) do służenia Mu w sposób doskonalszy, bliżej Siebie, w służbie świętej, czyto jako kapłan, czy też jako zakonnik. Dowodem tego liczne przykłady w Piśmie św.

Tak uczynił w Starym Testamencie z Abrahamem, z Aronem, ze Samuelem, z Elizeuszem i innymi prorokami, tak samo postąpił sobie w Nowym Zakonie ze św. Pawłem, Maciejem i wogóle ze św. Apostołami, tak czynił zawsze w dziejach Kościoła, tak czyni i czynić będzie, dopóki Kościół św. trwać, a zachowywać się będą ewangeliczne nietylko przykazania, ale i rady.

Prawda, że Pan Bóg do Swojej służby nie zawsze powołuje (jak w wyż przytoczonych przykładach) w sposób nadzwyczajny: drogą Objawienia, lub za pomocą różnych znaków cudownych i t. d., ale niemniej przeto wzywa do niej za pomocą natchnienia i głosu wewnętrznego, wrodzonych skłonności i t. p. A zatem ciągły, wytrwały wewnętrzny pociąg do stanu kapłańskiego lub zakonnego, zamiłowanie cnót, jakiemi kapłan i zakonnik mają się przedewszystkiem odznaczać, jako to: miłość bliźniego, zamiłowanie cnoty czystości, pilność i gorliwość w służbie Bożej i kościelnej i t. p., — są najpospolitszemi oznakami powołania. Przypuściwszy więc, że Pan Bóg w ten, lub podobny sposób powołuje kogoś z ludzi do Swojej służby, to taki wybraniec Boży obowiązany jest *w sumieniu* iść za Jego głosem, a tego mu ani rodzice, ani żadna zwierzchność, ani nikt zgoła na świecie nie ma prawa wzbraniać.

Niestety, mamy dzisiaj wielu rodziców, którzy tej prostej, a tak jasnej dla każdego wierzącego chrześcijanina, prawdy wcale nie znają, albo jeżeli ją znają, zuchwale ją depcą. Na tych nieszczęsnych sprawdzają się słowa Chrystusa Pana, że w rzeczach, tyczących się zbawienia duszy, największymi wrogami są właśni nasi domownicy: *et inimici hominis domestici eius.*

Jeżeli tacy niebaczni rodzice znajdują się także pomiędzy naszymi **Pomocnikami**, to przyszłoby nam z wielką łatwością udowodnić im, jak nierozumnie, jak po tyrańsku, a nawet bezbożnie postępują sobie, jeżeli dziecku swemu stawiają przeszkody i wzbraniają mu pójść za najgoretszem pragnieniem jego duszy, jeżeli za ich sprawą Pan Bóg i Kościół św. utracą o jednego pracownika więcej, w teraźniejszych zwłaszcza czasach, kiedy tak wielki ich brak powszechnie daje się uczuwać. Lecz ponieważby nas to za daleko zaprowadziło, ograniczymy się na tem, że przypomnimy im sąd Boży i ścisły rachunek, jaki przed trybunałem Chrystusa Pana z postępowania swego zdawać będą. Jeden bowiem kapłan mniej, lub więcej, znaczy: kilka set, a może nawet kilka tysięcy dusz mniej, lub więcej, albo. w niebie, albo w piekle.

Ileż to dziatek, ileż młodzieniaszków i dorosłych, iluż chorych, a nawet konających, woła, nieraz z rozpaczą, o pociechy Religii św., a mieć ich nie mogą, brak bowiem sług Ołtarza. A jeżeli dusze te dla braku niezbędnej pomocy duchownej pójdą na wieczne potępienie, czyż na sądzie Bożym nie będą mogły słusznie obwiniać tego, który dla podłego, ziemskiego zysku, lub innych, niskich pobudek, pozbawił ich Anioła-zbawcy, któryby ich wprowadził był do raju niebieskiego? A jeżeli Pan Bóg przyrzeka zbawienie wieczne tym, którzy przyczynili się do zbawienia duszy bliźniego, czyż ten, kto popełnił coś wręcz przeciwnego, nie powinien

drzeć o zbawienie własnej duszy? — Niech się nad tem dobrze zastanowi, kto w tym względzie ma sobie coś do wyrzucenia.

Jedną jeszcze tylko uwagę pozwolimy sobie dodać.

Najczęściej ci młodzieńcy, którzy bądź z własnej winy, bądź z namowy innych ludzi, nie poszli za głosem Bożym i stracili powołanie, pozostają przez całe swoje życie jak gdyby kość, nie na swojem umieszczona miejscu, jak ryba, wyciągnięta z wody, jak podróżny, kroczący po błędnych ścieżkach, miasto po bitym gościńcu. W stanie niewłaściwym i błędnie obranym, zamiast wymarzonego pokoju, znajdują rozterkę, życie ich najczęściej staje się pasmem nieszczęść i gorzkich zawodów. Iluż z nich, doszedłszy do 30go, lub 40go roku życia, nauczonych smutnem doświadczeniem, pragnęłoby — gdyby to było możliwe — cofnąć się wstecz i rozpocząć życie na nowo, tym razem już w stanie, jaki im czasu swego Opatrzność Boża była poddawała, a który oni lekkomyślnie odepchnęli! Niestety! sposobność taka raz im tylko była dana i już się więcej razy nie powtórzy. A wtenczas, cóż im innego pozostało, jak próżny żal i niewczesne narzekania?

Nie tak dawno temu jeden z byłych naszych wychowanków, z zamożnej pochodzący rodziny, doszedłszy już do lat 30, przyszedł razu pewnego do nas smutny i zmizerowany, prosząc o doradę. Opowiedział nam szczerze swoje smutne dzieje i zakończył ze łzami w oczach: „*O, gdybym był wstąpił do stanu zakonnego, do którego za młodu czułem powołanie! Dziś nie byłbym w takiem oto, jak księża widzicie, położeniu!*“ Mówił prawdę i potrzeba było długich perswazyi i zachęt ze strony dawnych jego Przełożonych, by go nieco pocieszyć.

Co najgorsza, to że takie gwiazdy błąkające się, żyjąc wśród świata i towarzystwa, jakiego powinni byli unikać, a nawet, które mieli obowiązek zwalczać, całą duszą lgną do jego zasad i toną w marnych, krótkotrwałych rozkoszach, jakiemi stara się ich upoić, stając się ze swej strony zagorzałymi onegoż zwolennikami. Odepchnąwszy miłosierną rękę Boga, wzywającego, ciągnącego ich do życia doskonalszego, zwróceni całkowicie do świata i jego ułud, to jeszcze dziw, jeżeli przynajmniej zachowują nazwę chrześcijan.

Od tej reguły rzadkie nader bywają wyjątki.

Na zakończenie, oraz przestrogę, przytaczamy tu niedawno zaszły fakt, który nas wszystkich poruszył do głębi.

Roku zeszłego młodzieniec pewien, dobry nasz znajomy, gorąco pragnął przywdziać sukienkę i wstąpić do naszego nowicyatu. Na jego nieszczęście, pewien ktoś, posługując się niegodziwymi środkami, potrafił go od tego odwieść. Co się potem, i to wcale niezadługo, stało? Młodzieniec ów nie będzie wprawdzie ani księdzem, ani Salezyaninem — o to niema obawy, — ale też zato prowadzi życie tak rozwiozłe i dał się swojej rodzinie, teraz już, tak dalece we znaki, że rodzice jego gorzko nad nim płaczą. Oby Bóg Wszechmogący ulitował się nad nim, a także nad tym, co mu powołanie do służby Bożej był zepsuł, ażeby przynajmniej w części mógł naprawić to złe, jakiego swoim nierozumem był sprawcą!

Misye Salezyańskie
w stanie Mato Grosso w Brazylii.

Z listów z podróży oraz sprawozdań misyjnych ś. p. X. Biskupa Alojzego LASAGNA, które w poprzednich zeszytach „*Wiadomości salezyańskich*“ ogłosiliśmy, *) wiadomo już czytelnikom naszym, że synowie księdza BOSKO osiedlili się r. 1894 w stolicy stanu Mato Grosso, mieście Cuyabá.

Zaledwie tam stanęli, objęli zaraz w zarząd obszerną parafią wraz z kościołem, poświęconym św. Gonzalo, otworzyli *kaplicę świąteczną* (czyli Oratoryum) i założyli szkoły i warsztaty rzemieślnicze dla chłopców. Lecz wszystko to było tylko przygotowaniem, pierwszym krokiem i etapą pierwszą na drodze do właściwego celu swojej w tamte strony wyprawy: zagajenia misyi wśród dzikich Coroados, — do tego zaś przyszło rzeczywiście już w następnym roku (1895).

Urzędowe pismo stanu Mato Grosso, „*Gazeta Official*,“ ogłasza pod dniem 19go kwietnia 1895 r. akt administracyjny prezydenta J. E. Dr. Manoel José MURTINHO, który opiewa:

---

*) Zob. *Wiadomości salezyańskie* N. 4, 5, 6, 7 i 8.

„*Nr. 616.* **Jego Ekscelencya, p. Prezydent Stanu**

uważając za stosowne powierzyć misyonarzom salezyańskim, którzy do **Mato Grosso** *między innymi także z tym zamiarem przybyli, by nawracać i ucywilizować dzikich I n d y a n w* **Colonia Teresa Cristina** (*nad brzegami rzeki* **São Lorenzo**), *także jej zarząd cywilny,*

postanowił zamianować:

Dyrektorem *wyż wspomnianej kolonii, Wielebnego X. Jana* **Balzola**,

wicedyrektorem *zaś, Wielebnego X. Józefa* **Solari**,

obudwóch członków **Zgromadzenia salezyańskiego**, *którzy będą pełnić swój urząd stosownie do reguł Zgromadzenia, do którego należą, i instrukcyi, udzielonych z naszej prezydentury.*"

Tygodnik „*O Mato Grosso*" zamieściwszy w swoich łamach powyższy dokument, dodaje od siebie następujące uwagi:

„*Już po razy kilka mieliśmy na tem miejscu sposobność, zajmować się bliżej niniejszą sprawą, wykazując, jak wielką przykładamy wagę do powierzenia misyi w naszym stanie* **XX. Salezyanom.**

Teraz zaś, gdy czcigodni ci misyonarze stanęli już pomiędzy nami, gotowi rozpocząć dzieło tyle humanitarne i filantropijne, jakiem jest bez wątpienia praca nad ucywilizowaniem dzikich I n d y a n, w tym celu, aby mogli się stać użytecznymi członkami społeczeństwa, zdolnymi do pracy przemysłowej i postępu, — nie możemy ze swojej strony jak tylko przyklasnąć ich usiłowaniom, tusząc, że ich błoga, na długoletniem doświadczeniu oparta działalność i szlachetne wysiłki odniosą wreszcie pożądany skutek.

Równocześnie oddajemy wyraz szczerej podzięki J. E. p. Prezydentowi Stanu Dr. Manoel José MURTINHO, *chlubie naszego stanu* **Mato Grosso**, *za którego mądrych i świetnych rządów przyszło właśnie do skutku tak szczęśliwe przedsięwzięcie, do jakiego on przedewszystkiem się był przyczynił niezmordowanymi swymi zabiegami i wytrwałą wolą, tyle razy już w ciągu swych rządów uczciwych i w jak najlepsze obfitujących owoce, okazaną.*"

Nawiązując do powyższych słów tygodnika matogrossowskiego, dołączamy także i my wyraz szczerego uznania dla łaskawego Prezydenta stanu M a t o G r o s s o i z całego serca dziękujemy mu za poparcie i chętną pomoc, jakiej tamtejszym naszym braciom nie szczędzi, którzy pełni zapału wyruszyli byli już na wiosnę 1895 r. do kolonii T e r e s a C r i s t i n a, jak to o tem świadczy następujący list, pisany przez X. Józefa SOLARI do ś. p. X. Biskupa Alojzego LASAGNA.

I.

1. Podróż do Colonia Teresa Cristina.

Colonia Teresa Cristina, 17go czerwca 1895 r.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY KSIĘŻE BISKUPIE,

Nareszcie stanęliśmy w C o l o n i a T e r e s a C r i s t i n a.

20go maja b. r., o pół do trzeciej po południu, wsiedliśmy w towarzystwie p. Alfonsa ROCHE na parowiec „*Antonietta*" i opuściliśmy C u y a b á. Przez mniej więcej cztery dni płynęliśmy z biegiem rzeki *Cuyabà*, zatrzymując się od czasu do czasu, aby udzielić Sakramentu Chrztu św., lub pobłogosławić związek małżeński. Zaledwie jednak wpłynęliśmy na rzekę *São Lorenzo*, wraz stała się żegluga o wiele trudniejszą, nietylko dlatego, ponieważ nam przyszło płynąć w górę rzeki (przeciwko prądowi), ale więcej jeszcze z tego powodu, że wody jej nie były nam dostatecznie znane.

Płynęliśmy tylko we dnie, gdyż żeglując nocą na oślep, słusznie obawialiśmy się osiąść gdzie na mieliźnie, albo, co gorsza i co nieobliczone mogłoby za sobą pociągnąć skutki, nadziać się na który z licznych nader, olbrzymich pni drzew, które, uniesione prądem, zagrzęzły i wryły się głęboko w muł rzeki. A nawet we dnie nie płynęliśmy jednym ciągiem, ponieważ ustawicznie to tu, to tam, trzeba się było zatrzymywać, ażeby po lasach narąbać dostateczny zapas drzewa na paliwo dla maszyny, co, jak wiadomo, zastępuje węgiel kamienny w tutejszych stronach.

Z wolnych takich chwil korzystałem, ile tylko mogłem, i w towarzystwie p. ROCHE zapuszczałem się w las na polowanie na ptaki, które potem na statku wypychałem. P. ROCHE wyuczył mnie doskonale tego szlachetnego kunsztu, dzięki czemu będziemy mogli posłać kilka wcale pięknych, a w każdym razie rzadkich, okazów do V i l l a C o l o n i do muzeum misyjnego w V a l s a l i c e.

Rzeką *São Lorenzo* nikt dotąd jeszcze — o ile wiem — przed nami parowcem nie

żeglował: my byliśmy pierwsi. Przedtem puszczano się po niej tylko na łodziach o płaskiem dnie (*chatas*). Wogóle rzeka *São Lorenzo* nie jest tak krętą, jak *Cuyabà* i bardziej obfituje we wodę. Od jej ujścia aż do *Piguiry* (rzeki pobocznej) żegluje się dość łatwo, natomiast od *Piguiry* aż do *Tarigara*, która jest ramieniem *São Lorenzo*, wody znacznie w łożysku ubywa, a pochodzi to stąd, ponieważ główny prąd rzeki z wielką siłą wpada do odnogi (*Tarigara*), a właściwa rzeka (*São Lorenzo*) pozostaje, że tak powiem, suchą. Od miejsca, w którem *Tarigara* łączy się na nowo z głównem korytem rzeki, żegluga znowu staje się znośniejszą, ciągle jednak należy mieć się na baczności, ażeby statkiem nie ugodzić w jaki pień, stojący mu zawsze na zdradzie i lekką tylko pokryty falą.

2. Spotkanie się z Indyanami.

Zanim jeszcze dotarliśmy do *Tarigara*, zapuściwszy się razu pewnego z p. ROCHE w las, zauważyliśmy na piasku świeże ślady, wyciśnięte stopą ludzką; nie skorzystaliśmy z nich jednakże i nie szliśmy za nimi, owszem nabawiliśmy się wtenczas porządnie strachu, słysząc nie bardzo od nas daleko przeraźliwy ryk tygrysa. Zato, przebywszy *Tarigarę*, zoczyliśmy niedaleko od brzegu dwóch Indyan, którzy, spostrzegłszy nas, uszli spiesznie do lasu. Wtedy kazaliśmy zatrzymać parowiec i wołając na całe gardło wzywaliśmy ich, ażeby się wrócili i przyjęli od nas podarunek. Niezadługo potem wychyliło się istotnie z gęstwiny pięciu Indyan, którzy dotąd z poza drzew się nam byli przypatrywali; daliśmy każdemu z nich koszulę i parę spodni. Poczem ruszyliśmy dalej.

Niezadługo spotkaliśmy część pokolenia Bororos-Coroados, z kacykiem na czele, — Indyan, należących do byłej (dzisiaj zniesionej) kolonii Isabel. Nie zatrzymaliśmy się tu jednak, lecz płynęliśmy dalej i w kilka godzin stanęliśmy na miejscu, gdzie dawnej wznosiła się ta osada.

W regulaminie „*o ziemi i kolonizacyi*“ — *de terras e colonisações* — jeden artykuł stanowi wyraźnie, że „*ziemie, zamieszkałe przez Indyan, nie mogą być sprzedane nikomu; skoro zaś ciż krajowcy dojdą już do pewnego stopnia cywilizacyi, natenczas ziemie powyższe mają być między nich podzielone.*“

Według brzmienia więc tego artykułu, ziemia owej kolonii była zawarowaną dla Indyan tubylczych, dość licznie w tych stronach przebywających; niektórym wszakże ludziom bez czci i wiary udało się wmówić w rząd, jakoby krajowców wcale tam nie było: zaczem zakupili ową ziemię dla siebie. Teraz rzeczywiście niema tam żadnych krajowców, bo ich nowi posiadacze siłą wypędzili i daleko od kolonii, podstępnie nabytej, w lasy zagnali. Niektórzy z tych biedaków musieli widocznie statek nasz spostrzedz i całemu szczepowi o tem donieść, gdyż pewnego poranku zjawił się nad brzegiem rzeki *kacyk* wraz z całą swoją rzeszą.

Jest on jeszcze młody, ma jaką taką ogładę, umie dość dobrze po portugalsku i otrzymał już Chrzest św. Pacholęciem wzięto go podstępem do niewoli i uprowadzono do miasta, gdzie jakiś czas chodził nawet do szkoły. Teraz jednak od wszystkiego, czego go tam nauczono, się odzwyczaił, o wszystkiem zapomniał, stąd nie dziw, że co się tyczy sposobu życia, nie różni się w niczem od innych Indyan. Rozmawiając z nim, wspomniałem mu między innemi także o tem, że mogłoby bardzo łatwo się zdarzyć, iżby jakiś kapłan między nimi osiadł, aby ich nauczył żyć i postępować sobie po chrześcijańsku. W kilka godzin potem zbliżył się do p. ROCHE i zapytał, czy to rzeczywiście prawda, co ja mu powiedziałem był; w takim bowiem razie kazałby swoim Indyanom wybudować schludną chatę dla mającego przybyć kapłana. P. ROCHE oczywiście potwierdził moje słowa, gdyż wszyscy bez wyjątku postanowiliśmy popierać, ile tylko mogliśmy, sprawę pozyskania dla Wiary św. tych nieszczęśliwych.

Byłoby też rzeczą bardzo smutną, zostawiać ich tak opuszczonych. Są dzicy, to prawda, lecz bardzo łagodnego usposobienia i o wiele lepsi od Indyan w kolonii Teresa Cristina. Połączyć ich z tymi zapewne nie będzie można, gdyż dzicy zawsze żyją ze sobą w nieprzyjaźni. Potrzeba będzie więc założyć wśród nich nową osadę, gdzie niechybnie o wiele więcej otrzyma się plonu ze swych trudów i pracy, aniżeli w Colonia Teresa Cristina. Sprawy tej zamyśla p. ROCHE nie popuścić i z rządem stanu Mato Grosso ją omówić.

W czasie naszego w tem miejscu pobytu ochrzciliśmy także dwóch dorosłych Indyan, którzy służą u pewnej chrześcijańskiej rodziny, jaka się w tych stronach była osiedliła.

Nareszcie po tylu trudach, po niezliczonych, a zawsze bolesnych ukąszeniach *moskitów* (tutejszych komarów), zwłaszcza zaś po długiej i męczącej podróży, stanęliśmy 5go czerwca w naszej osadzie.

Przybycie nasze powitał odgłos trąby wojskowej i wystrzały z moździerzy. Indyanie przyjęli nas ustrojeni wedle najświeższej mody. Nie brakło wśród nich takich, co na gołem ciele nosili tylko frak, do tego jeszcze bez rękawów, ze wspaniałym cylindrem na głowie, ale któremu brakowało dna. Była to prawdziwie maszkarada, godna karnawału.

Nazajutrz rozdzieliliśmy pomiędzy nich wszystkie ubrania, jakie przywieźliśmy ze sobą. Udało się nam jako tako ubrać przeszło 300 mężczyzn i kobiet, wielu jednakże z nich pozostało jeszcze w stroju adamowym, a byli między nimi także tacy, co bez żartów żądali, abyśmy im odstąpili swoje sutanny.

Chcąc ubrać jak najwięcej mężczyzn, jednym dawaliśmy tylko koszule, a drugim tylko spodnie. Teraz dopraszają się ustawicznie o derki, ażeby się módz czem przykryć w nocy, dającej się tutaj, zwłaszcza o tej wilgotnej i zimnej porze, porządnie we znaki, ale cóż, — kiedy tak mało ich posiadamy....

3. Ofiara *baire*'a.

Na drugi dzień po naszem przybyciu znaleźliśmy w niedalekiej chatce chorą Indyankę, której już zeszłej nocy śpiewano *bacururù* [1]), ponieważ była bliską śmierci. Leżała biedaczka na gołej ziemi, wśród nieczystości wszelkiego rodzaju, kawał drewna, pokryty małpią skórą, mając za poduszkę.

Był to raczej suchy szkielet, któremu nieco tylko jeszcze dostawało życia, od kilku już bowiem dni nic nie jadła. Twarz miała pomalowaną maścią *urucù* [2]), z czarnemi pręgami wpoprzek, czaszkę zaś, jak i całe ciało od szyi aż do pasa, tudzież ramiona (z wyjątkiem rąk) oblepione tłustą żywicą *urucù*. Pokrytą była tylko piórami z *araras*'ów [3]). Nogi wyglądały strasznie i poprostu obrzydliwie, z powodu czarnej żywicy, którą były pomazane.

Tak się ci nieszczęśliwi przygotowują na śmierć i pogrzeb!

Zdawała się być nieprzytomną: leżała nieruchoma, oczy tylko miała szeroko rozwarte, lecz całkiem już wygasłe, oddech zaś jej wskazywał niechybnie na bliski skon.

Nie namyślając się wiele, wziąłem wody i ochrzciłem ją pod warunkiem *si es capax*.

P. Roche wlał jej do gardła lekarstwo, które miał ze sobą, poczem oddaliliśmy się. Wróciwszy znowu po dwóch godzinach, znaleźliśmy ją w nieco lepszym stanie i całkiem przytomną. P. Roche dał jej po raz drugi zażyć lekarstwa i wyszliśmy z chaty, ażeby się naradzić, jakby ją można przenieść do *Sióstr P. Maryi Wspomożycielki*, by ją dalej pielęgnować, a zwłaszcza obronić od *baire*'a (czarownika). Lecz było już za późno.

W niespełna godzinę potem kacyk przyszedł nam oznajmić, że biedaczka już skonała. Ledwo bowiem opuściliśmy szałas chorej, wszedł *baire* [1]), zarzucił jej na twarz plecionkę i rozpoczął śpiew *bacururù*, w czem mu obecni zawtórowali. Potem, stanąwszy nogą na żywocie nieszczęśliwej ofiary, sięgnął ręką pod plecionkę, zatkał chorej mocno usta i nozdrza i udusił ją. Obawiał się złoczyńca, żebyśmy jej czasem nie uratowali i w taki sposób nie zadali kłam jego przepowiedni.

Kiedyśmy przyśli do chaty, znaleźliśmy już ciało, obwinięte w rogóżkę.

Odezwały się krzyki i piekielne wycia niewiast, podczas gdy zmarłą obwijały w plecionkę. Jej mąż łamał wszystkie swoje łuki i strzały, obrzucając kawałkami zwłoki nieboszczki. Niedosyć na tem: chwycił szklankę, z której chora zażyła była lekarstwo, roztrzaskał ją o kamień i zaczął skorupami w okropny sposób rozdrapywać sobie nogi. Potem czterech rosłych młodzianów wyniosło ciało z chaty, a *bairowie* zaczęli wymachiwać czapeczkami, jakie zwykli nosić na głowie i śpiewać *bacururù*, podczas gdy mąż wraz z krewnymy kaleczyli dalej swe ciała, aż krew z nich ciekła strumieniami, którą skrapiali zwłoki rzęsiście.

Była to scena tak straszna, że nie mogąc w żaden sposób jej zapobiedz, wyszedłem z chaty; nie mógłem już bowiem dłużej znieść obydnego tego widowiska.

X. Balzola zatrzymał się tam nieco dłużej, starając się powstrzymać niecne te obrządki, lecz wszystkie jego przedstawienia były daremne.

Nazajutrz, pokaleczony i pokrwawiony wdowiec dostał silnej gorączki....

4. Główne trudności, z jakiemi ma do walczenia misya w kolonii *Teresa Cristina*.

Nowa ta nasza misya przedstawia bardzo wiele trudności, — więcej, niż z razu przypuszczaliśmy. Jak na teraz staramy się

---

[1]) Pieśń, dotąd bliżej nie znana, z towarzyszeniem muzyki, którą Indyanie śpiewają na cześć umarłych. Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 7, str. 185.

[2]) Słynna pomada czerwona, którą się pomazują dzicy Indyanie brazylijscy. Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 7, str. 183.

[3]) Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 6, str. 139.

[1]) Zob. *Wiadomości salezyańskie* nr. 7, str. 184, 185.

wszystkiemi siłami przyswoić sobie narzecze Indyan, które skądinąd nie jest tak bardzo trudne do nauczenia.

Już zebrałem słowniczek, składający się z około 250 słów, a gdy mi się uda jeszcze zebrać drugie tyle, sądzę, iż wyczerpię cały ich zasób wyrazów. W przyszłym miesiącu zamyślam posłać Waszej Biskupiej Mości jeden egzemplarz tego słowniczka.

Indyanie zniesionej kolonii *Isabel* mówią takiem samem narzeczem, co bez wątpienia ułatwi nam nadzwyczaj pracę na stacyi misyjnej, jaką tam niezadługo u nich założymy.

Już zaprawiliśmy nieco do roboty naszych Indyan, którzy bynajmniej nie są tak dzikimi, jak to powszechnie twierdzą, — owszem, nadzwyczaj są tchórzliwi. Codziennie odwiedzamy ich po chatach, lecz cóż? kiedy korzystając z tej sposobności, strasznie dużo od nas zawsze wymagają: wiecznie o coś proszą i nigdy nie można ich zadowolnić.

Żołnierzy tu rozkwaterowanych jest razem 25. Upijają się bardzo często i tem dają dzikim bardzo zły przykład.

Do pracy mamy tu tyle, że nie wiemy, skąd zacząć i jak tylu potrzebom zaradzić. Jesteśmy misyonarzami, a zarazem rządcami kolonii, stróżami porządku, sędziami pokoju i t. d. i t. d. Musimy nad wszystkiem czuwać i zaspokajać wszelkie zachcianki i natręctwa Indyan, ... uczyć ich, jak budować chaty, jak się obchodzić z różnymi sprzętami i narzędziami, jak uprawiać rolę, jak spuszczać i obrabiać drzewa i t. d.

Spodziewamy się, że niezadługo Wasza Biskupia Mość raczy nas odwiedzić, a już na pewne liczymy na to, iż nam przyśle w pomoc więcej pracowników: tak księży, jak kleryków i koadjutorów, chociażby jak najwięcej; wszyscy bowiem znajdą tu pracy aż nadto.

Nieoceniony p. ROCHE zamierza kupić jaki mały parowiec i oddać się wraz z nim na usługi kolonii. Zamiar ten z pewnością przyprowadzi do skutku bardzo prędko, chce bowiem mieć ten zaszczyt i przewieźć osobiście Waszą Biskupią Mość, przy przyszłych odwiedzinach, z Cuyaba do kolonii. Pan ten jest szczerym naszym przyjacielem i zaj-



X. BALZOLA i pierwsi osadnicy Indyanie—Coroados w *Colonia Teresa Cristina.*

muje się naszemi sprawami tak gorliwie, jak gdyby był rzeczywistym Salezyaninem.

Kończę już nareszcie list i proszę Waszą Biskupią Mość, by raczyła w naszem imieniu pozdrowić wszystkich braci. Przyrzekłem był posłać do Las Piedras jakie wiadomości o kolonii i misyi, ale nie starczy na to czasu. Jeżeli Wasza Biskupia Mość uważa za stosowne, niech im raczy posłać niniejszy list.

Polecamy się wszyscy modlitwom Waszej Biskupiej Mości.

X. Józef Solari.

II.

(List X. J. Solari do Przew. X. M. Rua).

Colonia Teresa Cristina, 30go czerwca 1895.

Przewielebny Ojcze,

Z pewnością doniesiono już Przew. Ojcu o naszem szczęśliwem przybyciu do Indyan Coroados w Colonia Teresa Cristina.

Do listu, który poprzednio pisałem był do Najprzew. X. Biskupa Lasagna, a który niezawodnie rąk Ojca także już doszedł, dołączę jeszcze tylko niektóre rzeczy, przyczem mogłoby się także bardzo łatwo zdarzyć, że ten, lub ów szczegół, już raz w poprzednim liście podany, będzie w niniejszym powtórzony.

Jest nas tu zatem dwóch księży (X. Balzola i ja) i dwóch katechetów, a zajmujemy się mężczyznami; trzy **Siostry P. Maryi Wspomożycielki** zaś mają pieczę około niewiast, — razem więc jest nas czterech misyonarzy i trzy misyonarki, lecz wszystko to jest niczem, jest kroplą w morzu, w porównaniu do nieskończonych potrzeb, jakie się nam zewsząd narzucają.

1. Niektóre zwyczaje Indyan, przeciwne wszelkiej hygienie. — Ich pojęcia religijne. — Ich zatrudnienia.

Indyanie kolonii Teresa Cristina, jeżeli mnie wszystko nie myli, są na wskroś tchórzliwymi: strachają się lada czego. Z powodu lada zadraśnięcia skóry, lub gdy ich głowa nieco zaboli, przybiegają zaraz do nas po lekarstwo i w taki oto sposób, lubo nie posiadamy zgoła patentów na lekarzy i wcaleśmy medycyny nie studyowali, zostaliśmy całą gębą medykami, klientela zaś nasza jest tak liczna, że przyniosłaby zaszczyt najznakomitszemu lekarzowi w Europie.

Ale też zwyczaje tych biednych dzikich wcale a wcale nie przyczyniają się do tego, ażeby ich utrzymać przy zdrowiu. Nie mając się w co przyodziać, ni zimą, ni latem, szczególnie w nocnym czasie, nabawiają się zwykle zapalenia płuc, które najczęściej sprowadza na nich śmierć.

Smarują dalej całe ciało tłuszczem z krokodyla, tygrysa, lub innego jakiego zwierzęcia, chcąc w ten sposób zabezpieczyć się od bolesnych ukłuć *moskitów* i innych owadów, zawzięcie ssących ich krew; malują się maścią *urucù*, lub sokiem, albo żywicą różnych roślin i drzew, chcąc w ten sposób uchronić się promieni palącego słońca, — wszystkie te zabiegi wychodzą jednakże na ich szkodę, gdyż smarując całe ciało, zapychają tem samem pory w skórze i przeszkadzają regularnej transpiracyi.

Żywią się następnie wstręt i odrazę budzącem mięsiskiem ze zwierząt, jakie im tylko w ręce wpadną; mięso to, zwykle nieumiarkowanie spożywane, rozpala nadmiernie krew, powoduje niestrawność, różne wyrzuty na skórze, — słowem, biedni Coroados najróżniejszym z powodu jego używania podlegają chorobom.

Mają wreszcie ten nieszczęsny zwyczaj, że jakakolwiek spotka ich choroba, dalej, po każdem jedzeniu, lub kiedy są spoceni, a szczególnie, gdy ich febra trzęsie, — rzucają się we wodę, pozostając w niej przez dłuższy czas, — co wszystko po niedługim czasie pociąga za sobą śmierć, nie licząc już i tak zbyt częstych wypadków śmierci, spowodowanych jedynie fatalną przepowiednią *baira*.

Pojęcia ich religijne są prawdziwie mieszaniną babilońską. *Bairowie* zachowują pod tym względem tajemnicze milczenie, reszta zaś Indyan nie wie sama, co i w co właściwie wierzy.

O ileśmy się mogli od nich samych dowiedzieć, przypuszczają powszechnie istnienie dwóch duchów: *Marebba*, ducha dobrego i *Boupe*, złego ducha. Modlą się jedynie do tego ostatniego, — do ducha złego, a to z obawy, aby ich nie dręczył; dlatego to przed każdem jedzeniem mają zwyczaj wpierw zażegnywać (egzorcyzmować) pokarmy, aby *Boupa* oddalić i uniknąć nieszczęścia.

Bairowie w żywe kamienie przeklinają takich Indyan, którzy ośmielają się jadać coś takiego, czego oni wprzódy nie zażegnywali. Oczywiście mają w tem interes osobisty: kiedy bowiem pieczeń już jest gotowa i leży pokrajana, zaklinają kawałek po kawałku, próbują każdy z osobna, odkła-

dając najlepsze kąski dla siebie. Biada zaś niedowiarkowi, który nie czekając na ich zaklęcia, odważyłby się zjeść cośkolwiek. Takiego, ani chybi, spotka zasłużona kara! Czy cierń uwięźnie mu w nodze, czy go jaki owad ukąsi (chociażby to się przytrafiło dopiero po wielu latach), — wszystko złe, jakie go spotkało, przypadło nań jedynie z powodu, iż śmiał wziąć do ust pokarm, nie zażegnany wprzódy od *baire*'a.

C o r o a d o s są stosunkowo niezwykłego wzrostu: dochodzą przeciętnie do 1 metra 75 centymetrów wysokości; przytem są rozrośli bardzo i pleczyści. Gdy mają co do zjedzenia, pożerają wszystko na raz, nie troszcząc się o jutro; gdy nic nie mają, znoszą głód cierpliwie i bez skargi, tak jak gdyby nic. Trudnią się przeważnie polowaniem i rybołostwem, tudzież wyrabianiem łuków i strzał, skubaniem piór i pierza z papug (szczególnie z *araras*'ów), strojąc się w takowe bardzo chętnie; najczęściej jednakże leżą bezczynni całemi godzinami, rozkoszując się w słodkiem *far niente.* Kobiety przeciwnie starać się muszą o dzieci, gotować potrawy, szukać owoców i wyrabiać plecionki na łóżka.

2. Uchwały rządu brazylijskiego na korzyść i niekorzyść I n d y a n. — Misyonarze rolnikami. — Trudności w nawracaniu.

Szczep Indyan C o r o a d o s był w dawniejszych czasach postrachem całej okolicy: niezliczone ofiary padły pod ich strzałami. Z początku urządzano na nich obławy, jak na dzikie zwierzęta, by ich całkiem wytępić; i rzeczywiście wielką liczbę I n d y a n wymordowano bez miłosierdzia przy każdej takiej sposobności, wnet jednakże przeważyła litość nad dzikimi i zaczęto sobie łagodniej z nimi postępować. Starano się łączyć ich w gromady i z owego właśnie czasu datuje założenie kolonii I s a b e l (obecnie już nie istniejącej, jakto o tem wspominałem w poprzedzającym liście), a następnie kolonii T e r e s a C r i s t i n a, która zarazem jest posterunkiem wojskowym. Stoi tu 25 żołnierzy, pod rozkazami porucznika, zakwaterowano ich zaś tutaj w tym głównie celu, by trzymali na wodzy takich zwłaszcza I n d y a n, którzy się tu od czasu do czasu zjawiają jedynie w nadziei otrzymania jakiego podarunku. Szczep ten jest bardzo liczny i dochodzi do kilku tysięcy głów; stale jednakże osiedlonych jest zaledwie 600. Żyją najwięcej z polowania i rybołostwa; gdyby siedzieli na jednem miejscu i bardziej zbitą masą nie potrafiliby się zapewne wyżywić. Skądinąd zdaje się nam mocno, iż gdybyśmy posiadali dostateczne środki i mogli im w potrzebach, jakie mają, przychodzić w pomoc, wieluby się ich koło nas zebrało.

Rząd stanu M a t o G r o s s o, zniechęcony złą administracyą tej kolonii, postanowił był niedawno temu ściągnąć stamtąd żołnierzy i wymordować wszystkich C o r o a d o s. Lecz dzięki rozsądkowi i ludzkim uczuciom obecnego prezydenta stanu, Dr. Manuela Józefa MURTINHO, a przedewszystkiem staraniom X. Biskupa LASAGNA, inna co do nich zapadła uchwała. Na mocy dekretu rządowego zamianowano księdza BALZOLA dyrektorem, a mnie wicedyrektorem kolonii, z nieograniczoną władzą, na przestrzeni, z góry wymierzonej dla I n d y a n, a rozciągającej się blisko na 2,400 km. kwadratowych.

Był to jedyny środek dla nas, by, dzierżąc pełną władzę, módz trzymać zdala od osady Europejczyków (szczególnie kupców), gorszych od samychże dzikich, którzy złem i niegodziwem swojem postępowaniem niezawodnie przeszkadzaliby rozwojowi misyi.

Rząd stanu M a t o G r o s s o dostarcza nam czasowo środków na wyżywienie i utrzymanie 200 I n d y a n; zrobiłby z pewnością o wiele więcej, gdyby finanse na to pozwalały. O resztę I n d y a n musimy sami się starać, co do których całą naszą nadzieję pokładamy w Opatrzności Boskiej i ofiarności naszych P o m o c n i k ó w.

Obecnie zaprawiamy naszych dzikich do pracy. Zakupiliśmy w tym celu wiele kos, motyk, łopat i innych narzędzi rolniczych; codziennie prowadzimy ich do lasu, gdzie uczymy ich spuszczać drzewa, karczować pola, uprawiać je, sadzić ryż, fasolę, mandiokę, trzcinę cukrową, kawę i t. d. Urządziliśmy się w ten sposób, iż pracują tylko kilka godzin rano, a to dlatego, ażeby się nie zmęczyli zanadto; wogóle jednak można powiedzieć, że całe ich branie się jest dziecinne.

W braku zawodowych rolników my sami chwytamy za łopatę lub kosę i pracujemy, jak umiemy. Ach! jakżeby nam się tu przydał z jaki tuzin naszych poczciwych wieśniaków! Pracą niezmordowaną i dobrym przykładem byliby najlepszymi naszymi pomocnikami w nawracaniu i cywilizowaniu dzikich, staliby się prawą ręką misyonarza! Trzeba zaś koniecznie tych dzikich nauczyć pracować, raz dlatego, ażeby ich wyrwać z próżniactwa, które, jak u wszystkich innych ludzi, tak również u nich, jest źródłem wszystkiego

*

złego, następnie zaś, by ich młódz wyżywić i wogóle nauczyć, jak żyć z własnej pracy.

Co się tyczy ich nawracania, to napotykamy na różne, i to wielkie trudności, lecz z pomocą Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, a naszej i ich szczególnej Opiekunki, spodziewamy się je wszystkie stopniowo przełamać.

Jedną z takich trudności są np. złe nałogi, jakich dzicy nauczyli się od żołnierzy. Co do tego punktu, zaprawdę szczęśliwemi można nazwać liczne tysiące Indyan, żyjących na łonie natury; rozproszeni po lasach nie zasmakowali sobie jeszcze w życiu nibyto ucywilizowanem, ani zarazili się jego trądem.

Inną, i to bez porównania większą od poprzedzającej, trudność stanowią sławetni *bairowie*, kapłani-wróżbici-lekarze i prorocy tego ludu. Choćby tylko dla własnego interesu staną się śmiertelnymi wrogami naszej św. Wiary i będą wszelkimi sposobami starali się tamować jej rozwój, a ponieważ każde ich słowo, każda groźba jest dla Indyan dogmatem wiary, przeto nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby grożąc dzikim Coroados gniewem *Boupa* całkiem wzbronili im nas słuchać.

Bądź co bądź, będziemy przenosić do naszego mieszkania chorych, których oni już skazali na śmierć, będziemy ich pielęgnować i za pomocą Bożą postaramy się otworzyć Indyanom oczy i udowodnić im, jak fałszywymi są ci prorocy, niosący im tylko śmierć a zgubę.

A jużto główne nasze troski i starania skierujemy ku dziatwie i młodzieży, jeszcze mało, albo zgoła nie zepsutej i łatwiej dającej się pokierować, a tak z czasem spodziewamy się utworzyć z niej nowe pokolenie chrześcijańskie i ucywilizowane.

3. Prośba o jałmużnę dla nieszczęśliwych Indyan.

Oto masz, najdroższy Ojcze, co, korzystając z rzadkich chwil wolnego czasu, spisałem na prędce i co pozwalam sobie Ojcu przesłać; w ten sposób będziesz mógł uwiadomić Szanownych naszych Pomocników i przezacne Pomocnice o tem, co tu porabiamy na naszej stacyi misyjnej w Mato Grosso. Oby tych kilka moich słów wzruszyło ofiarne ich serca na korzyść tylu tysięcy nieszczęśliwych Indyan. Chrystus Pan, który i za tych biednych przelał krew Swoją, wyciąga za naszem pośrednictwem rękę, żebrząc o jałmużnę dla biednych Indyan z Mato Grosso. Czy znajdzie się gdzie serce tak kamienne, do tego stopnia pozbawione wszelkich uczuć miłości chrześcijańskiej, by odepchnąć wyciągniętą prawicę litościwego Zbawiciela, wstawiającego się za tymi dzikimi synami puszczy? Przenigdy!

Ofiarność chrześcijańska dokonywa cudów. Nie pozwolimy się przecież przewyższyć w gorliwości protestantom, co wszędy, po całym świecie usiłują wszczepić jad swoich błędów. Wielu z katolików może wstrzyma się od ofiarowania jałmużny, składając się ubóstwem: ale Pan Jezus przyjmuje chętnie nawet grosz wdowi. Nuże więc, niech zaczną nasi Pomocnicy — wszyscy bez wyjątku — poprą sprawę naszych pogan i niech z rychłą pospieszą pomocą misyi salezyańskiej w Mato Grosso! Tego się po nich słusznie spodziewa sprawa prawdziwej Wiary i cywilizacyi.

X. Józef Solari.

III.

Dodatek.

Ze sprawozdania tegoż samego misyonarza z misyi, odbytej zeszłego roku (1896) *nad rzeką* São Lorenzo, *jak również nad* Tarigara *i* Cuyabà, *podajemy tu niektóre ustępy, które żywo malują, jaka ciemnota, co się tyczy najprostszych zasad Wiary i praktyk religijnych panuje nawet u tamtejszej, już jako „ucywilizowana“ uchodzącej ludności.*

Pomocnicy nasi łatwo się stąd będą mogli przekonać, jak wielką jest w owych stronach potrzeba licznych i gorliwych misyonarzy.

Oto co pisze **X. Solari:**

Pewnego razu przyszedł do mnie do spowiedzi pewien tutejszy kolonista. Odprawiwszy ją zapytał się mnie:

—„Czy mogę przystąpić do Komunii św.?“

—„Owszem,“ odrzekłem, „wpierw jednak że trzeba wypełnić niektóre konieczne warunki, co do których musiałbym się najprzód upewnić, czy je Pan wszystkie zachowałeś.“

—„Ależ rozumie się, że je zachowałem i wypełniłem. Jakto? czy ksiądz już nie pamięta, że się co dopiero spowiadałem?“

—„To jest dopiero jeden warunek, a jak się ma sprawa z innymi? Czy Pan wiesz, co jest Komunia św.?“

—„Ja nie wiem, ale myślę, że przecież ksiądz powinien coś o Niej wiedzieć.“

—„Tak, ja wiem, czem jest Komunia św., ale czy także Pan . . .“

—„Więc to wystarcza.“

—„Nie, to bynajmniej nie wystarcza, i aże-

by Ją módz przyjąć, potrzeba, abyś i Pan wiedział, czem Ona jest.“

—„Ale mnie się widzi, że tego wcale nie potrzeba, bo gdy ksiądz wie, co jest Komunia, to już to samo jest więcej, niż wystarczające.“

—„Wystarczające, żebym ja Ją mógł przyjąć, — na to zgoda; ale nie, żeby Ją również mógł przyjąć Pan. Niech Pan posłucha, a wyłożę mu, co jest do Jej przyjęcia niezbędnie koniecznem.“

Tutaj zacząłem go pouczać o warunkach, nieodzownych do godnego przyjęcia Komunii św. i kazałem mu je sobie powtórzyć, a wreszcie rzekłem:

—„Więc dobrze, podczas Mszy św., gdy będę rozdzielał innym Komunię św., przystąp także i Pan.“

—„Bardzo dobrze.“

—„Ale proszę mi wprzód powiedzieć: nie wziąłeś Pan dzisiaj jeszcze nic do ust?“

—„Nic zgoła.“

—„Ani kropelki wody?“

—„Mówię przecież księdzu, że naprawdę nic nie wziąłem do ust. Wypiłem tylko dwa kieliszki *agua ardiente* (wódki), ale to przecież nic nie szkodzi.“

—„Jakto nic nie szkodzi? Szkodzi tyle, że Pan nie możesz już dziś przyjąć Komunii św.“

—„Cóż znowu? Dlatego, że wypiłem dwa kieliszki wódki? To przecież nie jest nic. Ksiądz może mi dać zresztą dyspensę. Niech ksiądz na to nie zważa i niech mi udzieli Komunii św.“

—„Nie, nigdy, żadną miarą. Nie chcę iść z tego powodu do piekła.“

—„Jak ksiądz ma za to pójść do piekła, kiedy nikt o tem nie wie, bom pił wódkę w ukryciu.“

—„Ale Pan Bóg o tem wie.“

—„Nawet Pan Bóg nie widział, — zaręczam księdzu, że nikogo a nikogo tam nie było.“

—„Pan Bóg widział z pewnością, ponieważ jest wszędzie obecny. Miej Pan cierpliwość jak na dziś i wstrzymaj się z przyjęciem Komunii św.; zaczekaj Pan do jutra, albo odłóż na kiedyindziej. Tymczasem weź Pan ten oto medalik i noś go zawsze na szyi.“

Wziął medalik, obracał go na wszystkie strony, wreszcie zapytał zakłopotany:

—„Czy mam go zaraz teraz połknąć, czy też mam jeszcze zaczekać i uczynić to dopiero w czasie Mszy św.?“

. . . .

Innym znowu razem przyszła z płaczem pewna niewiasta, chcąc się komunikować.

—„Już za późno,“ rzekłem jej, „już jestem po Mszy św., a Komunikantów się tutaj nie przechowuje.“

—„Ja chcę, żeby mi ksiądz dał spożyć Matkę Boską.“

—„Co takiego? Co Pani chce przez to powiedzieć?“

—„Chcę zjeść Matkę Boską.“

. . . .

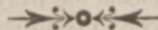
Inne, starsze już osoby prosiły mnie o Komunią św., choć się wcale przedtem nie spowiadały, dowodząc, że się już wyspowiadały temu 20 lub 30 lat, kiedy brały ślub, a ponieważ wtenczas do Komunii św. nie przystąpiły, więc postanowiły to uczynić teraz, korzystając z pierwszej, jaka się właśnie nadarzyła, sposobności.

W czasie tej mojej wycieczki wzdłuż rzeki *São Lorenzo*, *Tarigara i Cuyabà* pobłogosławiłem 65 małżeństw, udzielając dyspens od przeszkód kanonicznych, na mocy nadanej mi władzy; ochrzciłem dalej 227, a wybierzmowałem 243 osób, pomiędzy któremi było wielu ludzi już w podeszłym wieku; jeden z nich nawet liczył sobie fraszkę 114 lat.



PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,
założonego przez
X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



(*Ciąg dalszy*).

Wycieczka wyżej opisana była niejako początkiem, pierwszem ogniwem długiego łańcucha, z podobnychże złożonego wspólnych przechadzek, jakie X. Bosko tego roku (1846), a więcej jeszcze w latach następnych, bądź do tego, bądź do owego, w pobliżu od Turynu leżącego, miejsca urządzał. Zwykle zapowiadał wycieczkę kilka tygodni naprzód, wyznaczał ją zaś młodzieży jako nagrodę, na którą sobie wpierw powinna była zasłużyć, a to regularnem uczęszczaniem do *kaplicy świątecznej*, pilnem przykładaniem się do nauki

katechizmu i częstem przystępowaniem do Sakramentów świętych.

W taki oto sposób, jak zabiegliwy ojciec, posługiwał się, czem tylko mógł, aby swoich synów zachęcić do dobrego, starając się dać im niejako namacalnie poznać, że służba Boża może wyśmienicie iść w parze z przyzwoitą zabawą, jakto król-prorok dawno już był zalecał: *servite Domino in laetitia!* służcie Panu z weselem!

Trudno opisać entuzyazm, jaki u chłopców gry i zabawy, odbywane na łące, a zwłaszcza wycieczki, wywołały. Polubiwszy nad wyraz podobne połączenie praktyk religijnych z godziwemi zabawami i głęboko przeświadczeni o szczerej, z serca płynącej miłości, jaką dla nich zawsze żywił X. Bosko, widząc zwłaszcza, z jaką troskliwością i żywem przejęciem się chodził koło ich dusznego dobra, starali mu się na wszelki sposób odwzajemnić, a to przedewszystkiem słuchając go z podziwienia godną skwapliwością. Wystarczało jedno słówko, jeden znak, często nawet tylko jedno spojrzenie z jego strony, by uśmierzyć wszczęte między nimi kłótnie, przeszkodzić nieporządkom, jakie na chwilę pomiędzy nich się były wkradły, lub nakazać w jednej chwili milczenie 400 z górą młodym, szermującym językom.

Pewnej niedzieli np. po południu na łące wrzało jak w ulu: podzieliwszy się na gromadki, wszyscy zajęci byli w najlepsze, to bieganiem, to różnemi grami i zabawami, to śpiewaniem i t. p., kiedy naraz X. Bosko stanął w pośrodku rozbawionych chłopców, chcąc w pilnej jakiejś sprawie do nich przemówić: zaledwie dał znak ręką, wraz jakby makiem nasiał: ucichły swary, przerwano ogólną zabawę i gry i całe młodzieńcze grono otoczyło swego kierownika zbitym pierścieniem dokoła, czekając, co im powie.

Widząc to pewien żandarm, który przez chwilę ich gonitwom się przypatrywał, rzekł do kilku stojących w pobliżu mieszczan, co się również koło płotu byli zatrzymali: „*Gdyby ten ksiądz był jenerałem, mógłby z tak karnym pułkiem iść śmiało naprzeciw najlepiej wyćwiczonego wojska i być pewnym zwycięstwa.*“

Wspominając już o wojnie i wojsku nie będzie od rzeczy na tem miejscu jeszcze dodać, że właśnie w owym czasie zaczęto w Piemoncie mówić wiele o ruchawce i zaburzeniach, jakie zaszły w różnych stronach Włoch, stąd uwielbienie, jakie młodzież nie ukrywała dla swego kierownika, i ślepe posłuszeństwo, onemuż okazywane, dały powód do śmiesznych gadek, że X. Bosko, stojąc na czele takiej gromady młodzieży, mógł bardzo łatwo stać się niebezpiecznym dla istniejącego porządku rzeczy i wywołać każdej chwili rewolucyą w mieście. Gadki te znalazły wiarę nawet u władz miejscowych, a szczególnie u markiza Cavour, ojca Gustawa i Kamilla, osławionej pamięci, który wtedy był t. z. *Vicario*, czyli burmistrzem Turynu, a jako taki dzierżył (wówczas) pełną władzę cywilną w mieście.

Nie tak bardzo jeszcze dawno temu, wracając razu pewnego z przechadzki i widząc księdza Bosko siedzącego na łące w pobliżu *cytadeli*, otoczonego gronem chłopców, w których w przystępny i zajmujący sposób starał się wpoić gruntowne zasady religii i dobrych obyczajów, zapytał się towarzyszącego sobie urzędnika:

—„Co to za ksiądz, który tam siedzi wpośród tej zgrai uliczników?“

—„To X. Bosko,“ — odpowiedział towarzysz.

—„Ah! to X. Bosko! . . . Ten człowiek musiał albo oszaleć,“ tak się wyraził ów markiz, „albo też zasługuje na to, żeby go wsadzić do *senatu*.“

Przez co chciał powiedzieć, że księdza Bosko należałoby właściwie wrzucić do więzienia dla politycznych przestępców, znajdującego się w gmachu, dotąd jeszcze zwanym *senatem*.

Mając tak opaczne wyobrażenie o osobie księdza Bosko i jego *kaplicy świątecznej*, nie dziw, że w kilka tygodni po owej przechadzce, zdobył się na słowa i uczynki, jak to o tem zaraz będzie mowa.

Kazał zawezwać księdza Bosko do siebie, do *palazzo municipale* (tj. na ratusz), gdzie po dłuższym wywodzie o pogłoskach, jakie obiegały po mieście o Oratoryum i jego kierowniku, zakończył swoją rzecz temi oto słowy:

—„Jestem mocno przekonany, że zebrania tych chłopaków są niebezpieczne i dlatego nie chcę i nie mogę nadal na nie zezwolić. Niech Ksiądz zatem usłucha mojej rady i rozpuści czem prędzej tych uliczników, gdyż jemu i tak sprawiają tylko przykrość, a władzom miejskim niepotrzebny kłopot.“

Ksiądz Bosko odrzekł na to:

—„Zgromadzając chłopców w niedziele i święta, panie Markizie, nie mam czego innego na celu, jak tylko przyczynić się wedle sił i możności do polepszenia doli tych biednych synów ludu. Nie domagam się przecież od *municypium* (Rady miejskiej) żadnego wsparcia, wogóle o nic innego nie proszę, jak tylko abym mógł chłopców zgromadzać na

jakiem ustronnem miejscu, gdzieby mogli w przyzwoity sposób się zabawiać, przez co najlepiej się zapobiegnie, by nie wałęsali się po mieście, a co najważniejsza, otrzyma się dobrą sposobność, by przeplatając zabawy odpowiednią nauką, wpoić w nich zasady religii i dobrych obyczajów.

W ten właśnie sposób mam niepłonną nadzieję zmniejszyć ile możności liczbę małoletnich przestępców i kandydatów do domu poprawy.“

—„Myli się Ksiądz,“ rzekł na to markiz, „i cała jego praca jest na nic. A zresztą, skąd — pytam się — weźmie Ksiądz środki na zapłacenie najmu za używanie łąki i t. d. i jak wogóle myśli pokryć wydatki, na jakie go ustawicznie narażają te włóczęgi? Powtarzam raz jeszcze, że żadną miarą nie zezwolę na dalsze zebrania.“

—„Wynik dotychczas otrzymany ze zebrań świątecznych służy mi za dowód, że nie pracuję napróżno. Istotnie, wiele już młodzieży, pod względem religijnym zupełnie zaniedbanej, udało mi się przygarnąć, nią zaopiekować i ustrzedz od grozy popadnięcia w niewiarę i prowadzenia życia rozwiozłego. Naprowadziwszy zaś chłopców raz na drogę dobrą, postarałem się zarazem, by się mogli wyuczyć jakiego rzemiosła u uczciwych majstrów, co wszystko wyszło lub wyjdzie niewątpliwie na wielki pożytek dla nich samych, dla ich rodzin i całego wogóle społeczeństwa.

Na środkach materyalnych dotychczas także mi nie zbywało: są one w ręku Pana Boga, który zwykł wielkie rzeczy wyprowadzać z małych, a nawet zgoła stwarzać wszystko z niczego.“

—„Wszystko to bardzo piękne, co Ksiądz mówisz, księże Bosko, nie przeczę; z tem wszystkiem upraszam bardzo a bardzo być mi powolnym, bez wszelkiego zastrzeżenia, i rozwiązać natychmiast te schadzki.“

—„Udziel nam tę łaskę, panie Markizie, i pozwól nam je odbywać także nadal. Nie dla siebie proszę, lecz ze względu na dobro duszne tyle młodzieży, która bez tego Oratoryum łatwo mogłaby puścić się na bezdroża.“

Szlachetne to stawanie w obronie *kaplicy świątecznej* ze strony jej twórcy i kierownika podrażniło dumę markiza, zawołał więc z mocą:

—„Milcz Ksiądz! Nie jestem tu bynajmniej na to, by się z nim sprzeczać. Jego Oratoryum jest nieporządkiem, któremu ja chcę i powinienem zapobiedz. Czy Ksiądz nie wiesz, że wszelkie zbiorowisko ludzi jest z góry zakazanem, o ile nie jest prawnie dozwolonem?“

—„Zbiorowisko moje,“ odparł nieulękniony X. Bosko, „nie ma nic zgoła do czynienia z polityką, lecz jest czysto religijnem. Nic innego nie robię, jak tylko nauczam katechizmu biednych chłopców z pozwoleniem i zatwierdzeniem Najprzew. X. Arcypasterza.“

—„Czy Arcybiskup wie o tych sprawach?“

—„Wie owszem bardzo dobrze, gdyż dotąd ani razu jeszcze nie zrobiłem kroku bez jego wiedzy i zezwolenia.“

—„A gdyby Arcybiskup kazał Księdzu zaprzestać tego śmiesznego przedsięwzięcia, czy opierałby się Ksiądz temu?“

—„Bynajmniej. Rozpocząłem dzieło katechizacyi i dotychczas je prowadziłem, kierując się zawsze wolą i zdaniem mego duchownego zwierzchnika; na najmniejszy znak z jego strony natychmiast go zaniecham.“

—„Dobrze więc, jak na teraz może Ksiądz odejść, ja zaś udam się osobiście do Arcybiskupa. Myślę, że Ksiądz nie będziesz się rozkazom sprzeciwiał, inaczej, widziałbym się istotnie, co się tyczy jego osoby i w sprawie jego Oratoryum, zmuszonym uciec się do środków surowych.“

Taki miała przebieg ta rozprawa księdza Bosko z ówczesnym burmistrzem turyńskim, po której wraz nastąpiły innego rodzaju trudności i przeszkody, niemniej przykre od poprzednich, jakiemi nieprzyjaciel rodu ludzkiego kusił się znękać niezachwianą ufność w Opatrzność Bożą księdza Bosko i stłumić jego dzieło.

Rozdział VIII.

Nowe, ale zarazem już ostatnie wypowiedzenie miejsca. — Słowa prorocze i łzy przyjaciela. — X. Bosko traci posadę kapelana w Rifugio. — Odosobnienie. — Waryat osobliwego rodzaju. — Pielgrzymka do kościoła Madonna di Campagna. — Uderzenie w dzwony.

Pewien znakomity pisarz francuski w dziełku swojem *o księdzu Bosko i jego zakładach* mówiąc o młodzieży, która od samego początku uczęszczała do Oratoryum, użył pięknego porównania, które chętnie na tem miejscu za nim powtarzamy. „*Jak w ciężkie, zimowe dni ptaszęta gromadnie zlatują się tam, gdzie im dłoń dobroczynna rzuca ziarno, mające je uchronić od śmierci głodowej: tak około* X. Bosko *licznie zbierały*



Oratoryum św. Franciszka Salezego w TURYNIE.

się zastępy dziatwy i młodzieży, o które świat się nie troszczył *).“

Pisarz ten powiedział prawdę, gdyż wielu z żyjących dotąd ówczesnych uczestników Oratoryum widzi teraz jasno, że owe wykłady katechizmu, nauki, kazania, budujące przykłady i opowiadania, wspólne wycieczki, które dostarczały wątku do uczciwych rozmów, wesołe gry i zabawy, słowem wszystko, czem X. Bosko bawił ich i czego nauczał w owych dniach pierwszej młodości, kiedy zewsząd wielkie im groziły niebezpieczeństwa, były najlepszymi środkami zaradczymi, które ich ustrzegły od bezbożności, życia rozpustnego i sprowadziły ze złej drogi, na jaką byli już wstąpili: — że one właśnie przed wszystkiemi innemi przyczyniły się do ich ocalenia i stały się na zawsze drogoskazem życia. Lecz, by ciągnąć dalej raz zaczęte porównanie, jak nieraz się zdarza, że jakiś psotnik zestraszy ptaszęta, kiedy właśnie w najlepsze dziubią smaczny pokarm i zmusza je do szukania go sobie gdzieindziej, tak też po razy kilka przyszło pierwszym synom księdza Bosko, ptaszynom pierwotnego Oratoryum, ulatywać z jednego miejsca na drugie: nasamprzód od św. Franciszka z Asyżu, potem od *szpitalika*, następnie od *młynów miejskich*, dalej od św. Piotra w okowach, później z domu X. Moretty, a na ostatku nawet z wynajętej łąki, jak to zaraz opowiem.

Wracając z *palazzo di città* po owej rozprawie z markizem Cavour, sądził X. Bosko, że będzie mógł przynajmniej jakiś czas przepędzić wraz z chłopcami w spokoju, lecz jakież było jego zmartwienie, gdy przybywszy z ratusza do domu, znalazł na stole list, w którym bracia Defilippi wypowiadali mu łąkę, którą od nich był wynajął już na cały rok! „*Chłopcy księdza Dobrodzieja*,“ tak pisali ci panowie, „*latając ustawicznie po łące, gotowi nam jeszcze wydeptać trawę wraz z korzonkami. Chętnie więc darujemy Księdzu resztę sumy, jaka nam się od niego należy za wynajęcie aż do końca roku i zrzucimy się z kontraktu, byleby nam tylko w przeciągu dwóch tygodni zwrócił naszą łąkę. Uprzedzamy, że na dłuższą zwłokę nie możemy żadną miarą zezwolić.*“

Cóż było robić? Chcąc nie chcąc trzeba się było poddać i przenieść znowu Oratoryum gdzieindziej. Sądząc powierzchownie, mogłoby się niejednemu wydawać, jakoby te wszystkie zawody, jakie księdza Bosko i jego *kaplicę świąteczną* ciągle spotykały, były wynikiem zręcznie uknutej intrygi, lecz w rzeczywistości były to tylko próby, jakie Wszechmocnemu Panu Bogu podobało się zsyłać na niego, by tem lepiej zaznaczyć ważność dzieła, w jego złożonego ręce.

Gdy o tych i tymże podobnych trudnościach, jakie księdzu Bosko nieledwie na każdym kroku stawiano, wieść się po mieście rozniosła, zaczęło kilku z jego przyjaciół, miasto go owszem zachęcać do wytrwania na raz obranej drodze, raczej namawiać, by porzucił rozpoczęte dzieło. Ten i ów z nich, widząc, że był wyłącznie zajęty myślami o Oratoryum, jak gdyby już nie mógł żyć bez chłopców, że ich nawet nawiedzał po kilka razy na tydzień przy pracy, że się nimi zajmował, zwłaszcza w każdą niedzielę i święto, z więcej niż macierzyńską pieczołowitością i najchętniej o nich z kimbądź rozmowy prowadził, — zaczął naprawdę obawiać się, czy on przypadkiem nie stał się fixatem, a nawet, czy nie dostawał już początków pomieszania zmysłów; stąd starano go się ile możności rozerwać.

Pewnego dnia, nawet nieporównany X. Dr. Borel, w obecności X. Sebastyana Pacchiotti, zacnego i pobożnego kapłana, będącego wraz z nim i X. Bosko kapelanem *Rifugio* (schroniska) markizy Barolo, zaczął mu robić następujące przyjacielskie przedstawienia:

—„Kochany księże Bosko, jeżeli rzeczywiście nie chcemy wystawić się na niebezpieczeństwo utracenia wszystkiego, natenczas będzie najlepiej, jeżeli się postaramy uratować i zabezpieczyć przynajmniej jedną jego cząstkę. Rozpuśćmy więc chłopców, ilu ich obecnie liczy Oratoryum, a zatrzymajmy z nich co najwyżej ze dwudziestu, i to najmniejszych. Podczas gdy będziemy się zajmować tymi tylko kilkoma, Pan Bóg niezawodnie da nam z czasem sposobność podjęcia czegoś większego i rozszerzenia naszego dzieła, dostarczając nam jednocześnie odpowiednich środków, a zwłaszcza dogodnego do nauki i zabawy miejsca.“

X. Bosko, który już wtenczas przewidywał, co za łaską i pomocą Bożą miało się z *kaplicy świątecznej* wytworzyć w niedalekiej przyszłości, odpowiedział mu, jak ktoś, który jest świadom tego, co czyni, oraz celu, do którego zmierza:

—„Księdzu Dobrodziejowi wiadomo dobrze, z jakim trudem zdołaliśmy ostatecznie sprowadzić z istnych bezdroży tak wielką liczbę młodzieży, jak również i to, z jaką ona teraz gorliwością przyjmuje nasze nauki

*) Zob. *Don Bosco. Notices sur son œuvre*, etc. par l'Abbé L. Mendre. — Marseille, 1879.

jak skwapliwie stara się je wypełniać. Sądzę więc, że nie należy nam jej opuszczać, wydawać na pastwę świata i narażać na powtórne niebezpieczeństwa, z wielką szkodą dla ich dusz. Ksiądz Dr. przywodzisz jako główny powód do rozpuszczenia młodzieży brak odpowiedniego miejsca, tudzież potrzebnych środków materyalnych. Otoż co do tego żadna nie zachodzi obawa, gdyż miejsce mamy już przygotowane, środków potrzebnych nam również nie zabraknie, posiadamy własny dom, pomieszczenie na tyle dzieci, ile ich przyjdzie, warsztaty, przy których każdy z chłopców może się uczyć rzemiosła, do jakiego uczuje pociąg, obszerny dziedziniec dla wypoczynku i zabawy, przestronne krużganki, wspaniały kościół, mnóstwo księży, kleryków, katechetów, nauczycieli i asystentów, gotowych na nasze skinienie, którzy młodzież uczyć będą ze szczególniejszem uwzględnieniem takich zwłaszcza, co stanowi duchownemu poświęcić się będą chcieli.“

—„Lecz gdzież X. Dobrodziej masz te wszystkie rzeczy?“ — zapytał zdziwiony X. Dr. Borel.

—„Nie umiem jeszcze powiedzieć, gdzie one są, to jedno mogę zaręczyć, że one istnieją napewno i że są wyłącznie przeznaczone dla nas.“

Słysząc te słowa X. Dr. Borel (jak to sam zapewniał, kiedy dopiero co przytoczoną rozmowę w kilka lat później innym opowiadał), doznał głębokiego wzruszenia. Zdawało mu się, jakoby w tych zapewnieniach swego przyjaciela leżał jasny dowód pomieszania zmysłów; zawołał więc żałośnie:

—„Biedny X. Bosko! Teraz już niema wątpliwości, że mu się pomieszało w mózgu!“

I nie mogąc znieść dłużej niezmiernego bólu, jaki w głębi serca odczuwał, zbliżył się do przyjaciela, pocałował go i wyszedł z pokoju, zalawszy się łzami.

Podobnież X. Pacchiotti spojrzał na niego litościwym wzrokiem i rzekłszy tylko: „Biedny X. Bosko!“ opuścił go zbolały.

Pan Bóg dopuścił, by przekonanie o grożącej księdzu Bosko utracie rozumu znalazło wiarę u wielu osób w mieście. Do nich trzeba również zaliczyć markizę Julią Barolo, która go była wezwała do *Rifugio* na dyrektora t. z. *szpitalika św. Filomeny*. Dobroczynna ta pani życzyła sobie przedewszystkiem, ażeby X. Bosko zajmował się wyłącznie wzniesionymi przez nią zakładami *dla dziewcząt*, a chociaż początkowo nie miała nic przeciw temu, ażeby się obok nich opiekował także *chłopcami*, to jednak, dowiedziawszy się o przeszkodach, stawianych mu ze strony burmistrza i Rady miejskiej, i obawiając się na seryo, że gdy tak dalej potrwa, przyprawi się jeszcze o pomieszanie zmysłów, postanowiła teraz skorzystać ze sposobności, by się z nim rozmówić, odwieść go od jego zamysłów i zużytkować wszystek jego czas i pracę na rzecz *Rifugio* (schroniska) dla dziewcząt.

Na szczęście jednakże rzeczy wzięły wręcz przeciwny obrót.

Przybywszy zatem pewnego dnia do *Rifugio*, udała się do pokoju księdza Bosko i oświadczyła mu:

—„Jestem bardzo zadowolona, widząc, jak gorliwie Ksiądz Dobrodziej zajmuje się moimi zakładami, i bardzo mu dziękuję za to, że zaprowadził w *szpitaliku* śpiew pieśni nabożnych, naukę śpiewu gregoryańskiego i wogóle naukę muzyki, dalej, że wykładał w szkole arytmetykę i uczył dziewczęta systemu metrycznego, słowem, za to i za wiele innych jeszcze rzeczy nader pożytecznych.“

—„Pani Markiza jest bardzo dla mnie łaskawa,“ odpowiedział X. Bosko, „nie potrzebuje jednak tyle mi dziękować, kapłan bowiem obowiązany jest sumieniem do pracy. W tym razie spełniłem tylko swój obowiązek i od Pana Boga czekam za to zapłaty, jeżeli wogóle na takową sobie zasłużyłem.“

—„Chcę jeszcze to dodać, iż mi niezmiernie żal, że pod nawałem tak mnogich zajęć ucierpiało mocno księdza Dobrodzieja zdrowie. Zapewne będzie księdzu nadal niepodobnem, kierować jednocześnie mymi zakładami i zajmować się opuszczoną młodzieżą, tem bardziej, ponieważ jak słyszę, liczba jej nadzwyczajnie wzrosła.

Chciałabym więc księdzu zaproponować, czyby nie zechciał zajmować się wyłącznie tem, co mu dyktuje ścisły obowiązek, a zaprzestał udawać się do więzień miejskich, do szpitalów X. kanonika Cottolengo, przedewszystkiem zaś, aby całkiem zaniechał opiekować się opuszczonymi chłopcami. Cóż ksiądz Dobrodziej na to?“

—„Łaskawa Pani,“ odrzekł X. Bosko, „Pan Bóg w miłosierdziu Swojem wspierał mnie zawsze dotychczas i mam mocną nadzieję, że i nadal mnie nie opuści. Niech się więc pani Markiza o mnie i o moje zdrowie nie obawia, jak również o to, co na przyszłość wypada czynić, a czego zaniechać, gdyż wspólnie z X. Dr. Borel'em i X. Pacchiotti'm obmyślimy sposób i drogi, by wszystko się działo ku zupełnemu Pani zadowoleniu.“

—„Lecz ja nie mogę dłużej na to pozwolić, byś się ksiądz zamęczał. Tyle i tak rozlicznych

zajęć, chcąc nie chcąc musi z czasem wpłynąć ujemnie na stan księdza zdrowia, a w następstwie na niekorzyść moich zakładów. Prócz tego, bacząc na przeszkody, stawiane księdzu ze strony władz miejskich, tudzież ze względu na pogłoski, jakie się po mieście szerzą o stanie jego władz umysłowych, zmuszoną jestem księdzu radzić . . . .“

—„Radzić? cóż takiego, pani Markizo?“

—„Byś ksiądz opuścił albo swoje O r a t o r y u m, albo mój *szpitalik*. Niech się ksiądz dobrze namyśli i przyniesie mi następnie odpowiedź.“

—„Odpowiedź moja dawno już jest gotową i mogę jej pani Markizie udzielić natychmiast.

Pani jesteś majętną i posiadasz inne jeszcze środki, by swój cel osiągnąć: nietrudno jej zatem przyjdzie znaleźć księży, ile ich tylko będzie chciała, do kierowania jej zakładami. Wcale inaczej jednak rzeczy się mają z ubogimi chłopcami, którzy nie mają nad sobą bogatych opiekunów; dlatego też nie mogę i nie powinienem ich opuszczać. Chętnie więc gotów jestem pracować na rzecz *Rifugio* ile tylko będę mógł, lecz niezadługo myślę zrzucić się z regularnych obowiązków, by z tem większą swobodą oddać się pielęgnowaniu chłopców.“

—„Lecz jakżeż się ksiądz będzie mógł utrzymać, nie mając żadnych zgoła dochodów?“

—„Z łaski Bożej niczego mi dotąd jeszcze nie zabrakło, mogę więc śmiało ufać, że także na przyszłość Opatrzność Boska mnie nie opuści.“

—„Ależ zdrowie księdza jest zrujnowanem, umysł jego nadwerężony i gwałtownie domaga się wypoczynku. Posłuchaj zatem ksiądz mojej rady, — bo mu radzę rzeczywiście jak matka: — będę księdzu płaciła pensyą także nadal, a nawet ją podwyższę, jeżeli o to chodzi. Niech ksiądz tylko pójdzie spędzić czas jakiś gdzie na ustronie, niech sobie dobrze wypocznie, a kiedy odzyska napowrót zdrowie i przyjdzie do sił, wtedy niech powróci do *Rifugio*, gdzie każdej chwili przyjętym będzie z otwartemi ramionami.

W przeciwnym razie zmusi mnie ksiądz do zwolnienia go raz na zawsze z zajmowanej dotychczas w moim domu posady. Jeżeli mnie jednakże ksiądz zmusi do tego przykrego kroku, niech sobie popamięta moje słowa: z przyczyny tych swoich chłopaków, z którymi żadną miarą nie chce się rozestać, popadnie ksiądz niechybnie w długi. Wtenczas niezawodnie przyjdzie do mnie z prośbą o pomoc, ale ja już teraz święcie go zapewniam, że będę głuchą na wszelkie jego zaklinania. Niech się więc ksiądz dobrze wprzód zastanowi, zanim się na ten ostateczny krok odważy.“

—„Myślałem nad tem wszystkiem już od dość dawnego czasu, pani Markizo. Życie swoje poświęciłem dla dobra biednych chłopców i nic i nikt mnie już nie odwiedzie od raz powziętego zamiaru.“

—„Jakto? więc ksiądz naprawdę przekłada swoich włóczęgów nad moje zakłady? Jeżeli tak, to uwalniam księdza już w tej chwili od obowiązków. Dziś jeszcze postaram się o kogoś, któryby go zastąpił.“

Tu uważał X. Bosko za stosowne zwrócić uwagę rozżalonej markizy na tę okoliczność, że tak nagłe wyprawienie go z podobnego, jak *Schronisko* dla dziewcząt, zakładu, mogłoby dać złym językom pohop do rozsiewania uwłaczających jego czci kapłańskiej oszczerstw, że więc najlepiej będzie postępować sobie w tym wypadku z należytym spokojem i rozwagą, zwłaszcza zaś przestrzegać cnoty miłości chrześcijańskiej, zachować którą z pewnością życzyliby sobie oboje gorąco, gdyby im teraz przyszło stanąć przed trybunałem Najwyższego.

Na te przedstawienia uspokoiła się nieco markiza i odchodząc rzekła:

—„Dobrze więc: daję księdzu trzy miesiące czasu, po upływie których ustąpi komu innemu kierownictwa zakładu.“

X. Bosko zgodził się na to jak najchętniej, a zmuszony przestać liczyć na pomoc ludzką, z tem większą ufnością oddał siebie i swoje O r a t o r y u m w opiekę Boskiej Opatrzności.

Tymczasem pogłoska, że zabiegliwy ojciec i troskliwy opiekun tyle biednej młodzieży cierpi na manię religijną, czy nawet, że niezadługo całkiem zwaryuje, szerzyła się coraz więcej po T u r y n i e. Boleli nad tem ci, którzy byli prawdziwymi jego przyjaciółmi, natomiast tacy, którzy dotąd byli dla niego usposobieni obojętnie, a zwłaszcza ci, co mu w duchu zazdrościli, natrząsali się teraz poprostu z niego, — prawie wszyscy zaś, a w ich gronie nawet tacy kapłani, którzy aż do tego czasu stale go byli wspierali i których przychylność dla niego i jego O r a t o r y u m zdawała się wykluczać wszelką wątpliwość, zaczęli zwolna od niego się usuwać, tak iż niezadługo naokoło niego zrobiła się pustka i przez kilka niedziel musiał dźwigać sam jeden na swoich barkach ciężar kierowania, dozorowania, spowiadania i t. d. więcej niż 400 chłopców.

Odosobnienie to byłoby z pewnością zaniepokoiło, a nawet zniechęciło do reszty

najmężniejszego nawet człowieka, ale Pan Bóg nie pozwolił, by miał stracić odwagę ten, który powtarzał zawsze z Psalmistą: *Dominus illuminatio mea et salus mea, quem timebo? Dominus protector vitae meae, a quo trepidabo? .... Dominus adiutor meus et protector meus: in ipso speravit cor meum, et adiutus sum* *). *Pan oświecenie moje i zbawienie moje, kogoż się będę bał? Pan obrońca żywota mego, kogoż się będę lękał? ..... Choćby stanęły przeciwko mnie wojska, nie będzie się bało serce moje, choćby powstała przeciwko mnie bitwa, w tej ja nadzieję pokładać będę .... Pan pomocnik mój i obrońca mój: w nim nadzieję pokładało serce moje i uratowany jestem.*

Miłość prawdy każe na tem miejscu wyznać, że nie wszyscy kapłani opuścili księdza Bosko w dniach tak ciężkiej próby. X. Caffasso np., a zwłaszcza X. Arcybiskup Fransoni, nie przestali nigdy wspierać go radą i zachętą. A jużto można nazwać prawdziwem szczęściem, że w czasach tyle burzliwych kierował nawą prastarej archidyecezyi turyńskiej mąż tak światły, tak świadom dróg Pańskich, i tak przychylnie usposobiony dla X. Bosko i jego Oratoryum; w przeciwnym bowiem razie dzieło to, bez widocznego cudu Opatrzności Boskiej, niewątpliwie poszłoby w rozsypkę.

W tymto właśnie czasie przytrafił się dosyć pocieszny wypadek.

Kilku czcigodnych, a nawet rzec można: szczerze życzliwych księdzu Bosko duchownych turyńskich, będąc święcie przekonani, iż tenże cierpi na pomieszanie zmysłów, powzięło zamiar umieszczenia go w domu obłąkanych, aby nie kompromitował duchowieństwa, siebie zaś na śmieszność nie wystawiał, a może na gorsze nawet nie narażał następstwa. Wobec tych zwłaszcza powodów, mniemali, iż dłuższe wahanie było niemożliwem.

—„Poczciwy ten księżyna," mówili, „cierpi widocznie na jakieś zboczenie umysłowe, które bez żadnej wątpliwości musi się skończyć szaleństwem. Ponieważ atoli złe jest dopiero w zarodku, zatem będzie go jeszcze można zawczasu uniknąć, używając ku temu odpowiednich zabiegów. Tylko w taki oto sposób nie dopuści się do nieuniknionej katastrofy. Zawieźmy go więc do domu zdrowia, a tam, przy stosownem obchodzeniu się z nim, zrobi się na jego korzyść wszystko, na co się tylko miłość bliźniego i sztuka lekarska potrafią zdobyć."

*) Psalm. XXVI, 1 s.; XXVII, 7.

Porozumiawszy się zatem w tym celu z dyrektorem zakładu dla obłąkanych, uzyskali w nim z łatwością miejsce dla X. Bosko, poczem, załatwiwszy wszelkie inne formalności, polecili dwom ze znakomitszych duchownych turyńskich (z których jednym był X. Dr. Ponzati, proboszcz parafii św. Augustyna, a drugim równie zacny, jak uczony, kapłan, dziś jeszcze żyjący), aby postarawszy się o karetę, szczelnie zamykaną, którejby z wewnątrz otworzyć nie można było, udali się do X. Bosko, zaprosili go z sobą i przewieźli nieznacznie do rzeczonego domu chorych na umyśle.

I oto pewnego pięknego dnia zajechali obydwaj czcigodni wysłańcy przed *Rifugio* markizy Barolo i udali się do pokoju księdza Bosko. Pogawędziwszy z nim z razu to o tem, to o owem, naprowadzili zwolna rozmowę na przedmiot, najbardziej go zajmujący: na Oratoryum, na przyszły gmach, jaki tam stanie, na wielki kościół, jaki tam wybuduje, na kapłanów i kleryków, którzy je będą obsługiwać i t. d.

—„Więc Ksiądz chcesz rzeczywiście budować Oratoryum?" — pytali.

—„Tak jest," — odrzekł X. Bosko i powtórzył im to wszystko, co już tyle razy opowiadał był innym, a to z taką pewnością, jak gdyby wszystko widział jasno przed oczyma, zapuszczając się w najdrobniejsze nawet szczegóły.

Słysząc te wywody, obydwaj wysłańcy spojrzeli po sobie znacząco i z pewnym odcieniem litości i na pół z westchnieniem rzekli tylko: „*prawda!*" To znaczyło: niemasz żadnej wątpliwości, ten człowiek istotnie postradał zmysły!

Tymczasem X. Bosko domyślił się już ze samej wizyty, tak niezwykłej i złożonej mu przez tak znaczne osobistości, a więcej jeszcze z natarczywych pytań, jakiemi go zarzucali, zwłaszcza zaś z tajemniczego, zaledwie stłumionego wyrazu, że obaj należeli do rzędu tych konfratrów, którzy go pomawiali o waryactwo, i śmiał się w duchu, czekając, jak się to wszystko skończy. Jakoż po chwili zaprosili go obaj wysłańcy, by przejechał się z nimi na spacer.

—„Przejażdżka na świeżem powietrzu," tak mówił X. Dr. Ponzati, „wyjdzie Ci niewątpliwie na zdrowie, kochany księże Bosko. Chódź więc! Mamy właśnie powóz ze sobą, który czeka na dole."

X. Bosko, który wbrew gadkom, jakie o nim po mieście chodziły, miał widocznie w głowie jeszcze dość znaczny zapas oleju, spostrzegł się od razu, jakiego mu chciano

wypłatać figla, lecz nie dając tego po sobie poznać, po dłuższem naleganiu ze strony gości, przyjął nareszcie ich zaprosiny i zeszedł z nimi do powozu. Tam z nieco natarczywą grzecznością zapraszano go, by zechciał wsiąść pierwszy.

—,,Siadaj, księże Bosko!“ — nalegali obaj duchowni.

—,,Bardzo przepraszam .... tego przed księżmi nie uczynię... niech księża siadają pierwsi.“

—,,Ależ prosimy, ... tylko bez ceremonii.“

—,,Nie,“ — odrzekł X. Bosko, ,,żadną miarą nie mogę tego uczynić; byłoby to z mojej strony brakiem szacunku, należnego tak zacnym osobistościom. Proszę więc, niech księża siadają pierwsi.“

Nie chcąc przedłużać próżnych ceremonii i już nieco zniecierpliwieni, wsiedli nareszcie obaj duchowni do powozu, przekonani, że X. Bosko wsiądzie tuż za nimi, gdy w tej chwili tenże, miasto pójść za ich przykładem, zatrzasnął szybko drzwiczki od powozu i krzyknął na stangreta:

—,,Ruszaj do zakładu, gdzie już na nich czekają!“

Stangret, widocznie już uprzedzony, żeby za danym znakiem ruszyć z kopyta, nie oglądając się na to, co się przy powozie dzieje, zaciąwszy dzielne swoje konie, pędził w cwał, nie zważając na rozpaczliwe krzyki i pukania zamkniętych w powozie księży, i po chwili stanął na dziedzińcu zakładowym. Nagle zamknięto otwartą aż dotąd na oścież bramę podwórzową, a w tejże chwili ukazał się dyrektor z kilkoma posługaczami, aby przyjąć oczekiwanego waryata, lecz jakież było ich zdziwienie, gdy otworzywszy drzwiczki od powozu, zamiast jednego, znaleźli w nim dwóch, miotających się w bezsilnym gniewie i łających woźnicę, ile się zmieściło, za jego niezdarność.

—,,No, no, uspokójcie się, Ojcowie!“ — odezwał się do nich dyrektor. ,,Wprawdzie zapowiedziano mi przybycie jednego tylko pensyonarza, ale jeżeli o to chodzi, znajdzie się miejsce i dla dwóch.“

—,,A to dopiero zuchwalstwo! Za kogoż to nas Pan bierzesz? Czy nie widzisz, z kim masz do czynienia? Myślisz może, że jesteśmy lada hetki-pętelki? Puść nas natychmiast, a jak nie, to się już oto postaramy, by Cię nie minęła zasłużona kara!“

—,,Tam do licha!“ — rzekł na to z flegmą dyrektor, ,,toż to furyaci. Znamy się na tem. Hola! chłopcy, zaprowadźcie-no ich do celek, a jeżeli się nie uspokoją, wziąć ich pod dobry tusz i nałożyć kaftany!“

Biedni księża struchleli. Szczęściem przyszło im w sam raz na myśl, odwołać się do kapelana zakładu, za którego pośrednictwem dopiero rzecz cała się wyjaśniła i puszczono ich na wolność.

Łatwiej przychodzi sobie wyobrazić, aniżeli opisać, jakie miny mieli obydwaj duchowni, widząc, jak zręcznie i całkiem niespodzianie byli wyprowadzeni w pole. Oczywiście, że z wypadku tego śmiechu było niemało, ale — nie z księdza Bosko, który udowodnił, że jeżeli w istocie chorował — jak twierdzono powszechnie — na manię religijną, to posiadał również sporą szczyptę zdrowego dowcipu ludzkiego, jakim w razie potrzeby umiał się posługiwać i którym mu nieraz jeszcze przychodziło bronić się przeciw rozlicznym zasadzkom i podstępom, jakie na niego często w życiu zakładano. W każdym razie to jedno zdarzenie wystarczyło, by dać wszystkim poznać, że albo zgoła zmysłów nie postradał, albo że był waryatem osobliwego rodzaju tj. jednym z tych głupich, których Pan Bóg od czasu do czasu wzbudza i używa za swoje narzędzia do wykonania wielkich dzieł, gdyż według słów św. Pawła, *quae stulta sunt mundi, elegit Deus, ut confundat sapientes* *). *Wybrał Bóg głupstwa świata, aby zawstydził mądre: a mdłe świata Bóg wybrał, aby zawstydził mocne: i podłe świata i wzgardzone wybrał Bóg i te, których niemasz, aby zniszczył te, które są, aby się żadne ciało przed oczyma jego nie chlubiło.*

Wśród takichto i tym podobnych zajść i przepraw, czasami wesołych, po większej części przykrych, nadeszła niedziela palmowa 5go kwietnia 1846 r., a z nią ostatni dzień, w którym wolno jeszcze było odbyć zwykłe zebranie świąteczne na łące.

Był to jeden z najcięższych dni dla X. Bosko, — dzień niezmiernego smutku dla jego serca, już i tak, dla ciągłych zawodów i przeciwności wszelkiego rodzaju, skrwawionego i zbolałego. W dniu tym bowiem powinien był wiedzieć napewne, gdzie miał w następną niedzielę zebrać swych 400 chłopców, aby ich zawczasu o tem uwiadomić, — a tymczasem, pomimo najtroskliwszych swoich starań i poszukiwań na wszystkie strony, nie mógł żadnego odpowiedniego ku temu znaleźć miejsca.

Czem nadzwyczaj zmartwiony, zawsze jednakże ufny w Panu Bogu, postanowił wystawić na próbę potęgę modlitwy ukochanych swoich chłopców, wśród jakich wielu

*) 1 Cor. I, 27-29.

było, którzy, co się tyczy żywej, gorącej wiary i cnotliwego życia, byli prawdziwymi aniołami w cielesnej powłoce.

Gdy więc tego poranku chłopcy zgromadzili się na łące, a większa część z nich odprawiła już spowiedź, zebrał ich około siebie i zapowiedział, że na Mszą św. udadzą się do klasztorku kapucyńskiego *Madonna di Campagna*, oddalonego od Turynu o jakie dwa kilometry, przy drodze, prowadzącej z Turynu do Lanzo.

—„Udajemy się tam,“ — rzekł, — „niejako w pielgrzymce, aby uczcić Najśw. Maryą Pannę, w tej zwłaszcza intencyi, aby ta Matka litościwa wyjednała nam u Pana Boga łaskę, jakiej teraz tak gwałtownie potrzebujemy, i dopomogła nam znaleźć jak najrychlej inne jakie, dogodne na Oratoryum miejsce.“

Zapowiedź tę przyjęto z radością, poczem młodzież ustawiła się zaraz w szeregi. Wiedząc zaś, że wycieczka niniejsza miała się raczej odbyć z nabożeństwa, aniżeli dla samej przyjemności, zachowali się wszyscy jak najskromniej i najprzykładniej, a w czasie pochodu jużto odmawiali rożaniec, jużteż śpiewali litanią do Matki Boskiej, lub pieśni nabożne.

Kiedy zeszli na drożynę, prowadzącą z bitej drogi (żwirówki) do kościoła, zaczęto naraz bić w klasztorne dzwony, co wszystkich niezmiernie zdziwiło. Powiadam: „*niezmiernie wszystkich zdziwiło*,“ gdyż jakkolwiek już kilka razy się tam przedtem byli udawali, to jednak ani razu jeszcze przybycie ich nie było tak uroczyście obwieszczonem. Było to coś tak niezwykłego i nadzwyczajnego, że rozeszła się pogłoska, jakoby dzwony były się same na ich przywitanie poruszyły. To pewna, że O. Fulgenty, ówczesny gwardyan klasztorku i spowiednik króla Karola Alberta, zaręczał, że ani on, ani nikt z zakonników, zlecenia, aby z powodu przybycia chłopców księdza Bosko uderzono we wszystkie dzwony, nie wydał, — jak również, że lubo w tym względzie zarządził był ścisłe dochodzenia, starając się wyśledzić, kto był owym dzwonnikiem, który w spiże uderzył, w żaden sposób dociec tego nie zdołał.

Wszedłszy do kościoła wysłuchali wszyscy Mszy św., a niektórzy z chłopców przystąpili w czasie jej do Komunii św. Po skończonej Mszy, podczas gdy zacny O. Gwardyan polecił w ogródku klasztornym przygotować skromny posiłek, miał X. Bosko zastosowaną do okoliczności naukę. Przyrównywając swe dziatki do ptasząt, którym zrzucono gniazdko na ziemię, zachęcał ich, aby błagali Matkę Najświętszą, iżby im inne jakie, stałe już i zabezpieczone, przygotowała miejsce.

Chłopcy też prosili Ją o to prawdziwie z głębi serca, pełni ufności, że modlitwy ich łaskawie wysłucha. Zaczem, posiliwszy się powrócili do miasta, aby po południu zebrać się po raz ostatni na łące.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



HOŁD

trędowatych w Agua de Dios,

złożony pamięci

X. Michała UNIA.



WIEŚĆ o śmierci ukochanego współbrata naszego, X. Michała Unia, wzbudziła powszechny żal w całej rzeczypospolitej kolumbijskiej. Zaledwie depesza, wysłana przez X. Michała Rua na ręce Najprzew. Arcybiskupa w Santa Fé de Bogotà, doszła na miejsce swego przeznaczenia, powtórzyły ją zaraz wszystkie dzienniki, bez różnicy stronnictw, zamieszczając każdy z nich długie nekrologi, pełne współczucia i niekłamanego podziwu dla cnót, prawdziwie chrześcijańskich i poświęcenia się w iście heroicznym stopniu przedwcześnie zgasłego kapłana. Wszyscy opłakiwali stratę dobroczyńcy cierpiącej ludzkości, skon bohatera miłości chrześcijańskiej.

Najboleśniej jednakże odczuli śmierć księdzia Unia biedni trędowaci w Agua de Dios. Niepodobna nam opisać żałosnych scen, jakie się tam pomiędzy nimi rozgrywały. Gdyby nam miejsce pozwalało, chętnie przytoczylibyśmy ich listy, pełne boleści, jakie wysyłali do Przełożonego naszego, księdza Rua. Dla nich-to bowiem wylał X. Unia skarby swego szlachetnego serca, dla nich rozwijał niczem niezmordowaną czynność, dla nich poświęcił się ciałem i duszą: oni zaś ze swej strony, poznawszy się na nim od razu, umieli ocenić wielkość jego ofiary, zaczem pokochali go jak najlepszego przyjaciela, najtroskliwszego ojca, swego anioła-pocieszyciela.

Łatwo zatem pojąć, z jakim bólem przyjęli wieść o jego skonie.

Wdzięczność wszakże trędowatych nie ograniczyła się li tylko na płaczu, całkiem bezużytecznym dla umarłych. Skoro tylko wiadomość o śmierci ukochanego kapelana pomiędzy nimi się rozniosła, zaraz zaczęli wznosić gorące modły za spokój jego duszy, 4go zaś stycznia 1896 r., zaprosiwszy kilku kapłanów z Santa Fé de Bogotá, urządzili uroczyste nabożeństwo żałobne, o którem następujące otrzymaliśmy sprawozdanie:

Santa Fé de Bogotá, 7go stycznia 1896 r.

Co dopiero wróciłem z Agua de Dios. Dnia 4go b. m. odprawiono tamże uroczyste nabożeństwo za spokój duszy ś. p. X. Michała Unia, na jakie sobie bez wątpienia zasłużył. Jestem przekonany, że nabożeństwo żałobne, jakie się 11go grudnia 1895 r. odprawiło w Turynie, było okazałe; wiem, że nabożeństwo, jakie myśmy tu urządzili w kościele naszym *del Carmine* w Santa Fé de Bogotà, odbyło się z wielkiem zbiegowiskiem ludzi; lecz z drugiej strony pewny jestem, że nabożeństwo, odprawione ze współudziałem trędowatych, było bez porównania więcej wzruszające i niezawodnie więcej, niż ze wszystkich innych odniosła z niego pożytku dusza pierwszego kapelana lazaretu w Agua de Dios.

W nabożeństwie brała udział cała ludność osady: tak chorzy, jako i zdrowi. Kościół, kirem obity, przepełniony był ludem, do Komunii św. przystępowano licznie, a przystąpionoby niewątpliwie w większej jeszcze masie, gdyby ilość kapłanów była dostateczną i daną była penitentom sposobność wyspowiadania się. Oczywiście nie mogło się obyć bez mowy żałobnej; wypowiedział ją serdeczny nasz przyjaciel, X. Leopold Medina, założyciel i przewodniczący *Towarzystwa św. Łazarza*, licznych nader posiadającego członków, zwłaszcza w Bogotá.



X. Michał UNIA wyprawia się po raz pierwszy do trędowatych w AGUA DE DIOS.

Nie trudno było wypowiedzieć mowę pochwalną na cześć X. Michała Unia w samemże Agua de Dios. Na co tylko padnie wzrok, wszystko mówi tam o nim: cała osada przepełniona jest jego dziełami.

„Księdzu Unia,“ mówił kaznodzieja licznie zebranym słuchaczom, „zawdzięczacie *wodę*, jaką pijecie.“

Temi słowy przywiódł im na pamięć, że przed jego przybyciem nieszczęśliwi, osadzeni tamże trędowaci nie mieli nawet wody dla zaspokojenia pragnienia, a za odrobinę, jaką od czasu do czasu otrzymywali, musieli grubo się opłacać.

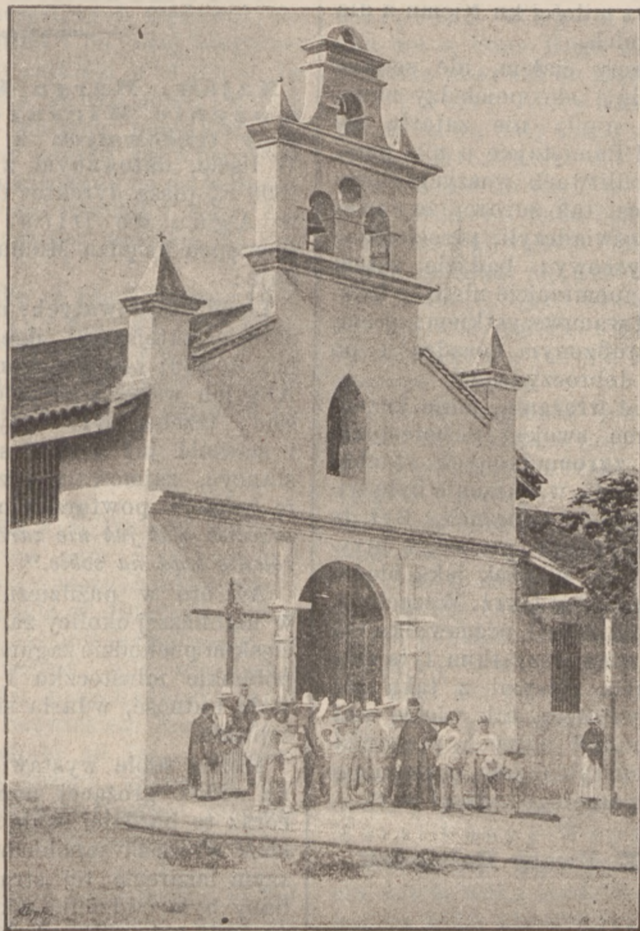
W samej rzeczy pierwszem staraniem księdza Unia było: sprowadzić do osady wodę. Stało się to za pomocą rur, dostarczonych darmo przez jednego z gorliwych Pomocników salezyańskich; zbudowano na długość kilku kilometrów wodociąg, czerpiąc wodę w dostatecznej ilości na wzgórzu, niezbyt odległem od osady trędowatych. Od czterech lat, tj. odkąd istnieje zbudowany przez X. Unia wodociąg, nawet w czasie największej posuchy, nie zabrakło jeszcze ani razu wody w Agua de Dios.

„Księdzu Unia zawdzięczacie dalej,“ prawił kaznodzieja, „*wspaniały lazaret*, jaki posiadacie.“

Istotnie, za jego-to inicyatywą cała prawie

Kolumbia wysłała do Agua de Dios *cuartillo* *), — grosz wdowi, o który X. Unia prosił w imię Boże. Nowy zaś ten lazaret, obecnie jest już ukończonym, a podczas gdy w starym szpitalu zaledwie kilkudziesięciu chorych mogło się pomieścić, zmieści się w nowym kilka set trędowatych, znajdując tam wygodę, o jakiej dawniej nie można było nawet marzyć.

„*Kościół* w Agua de Dios, za przybyciem księdza Unia znacznie został upiększonym.“



Kościół trędowatych w AGUA DE DIOS.

Przedtem, z kościoła miał chyba tylko nazwę, brakowało w nim bowiem wszystkiego, nawet najniezbędniejszych sprzętów i przedmiotów: obecnie tak jest upiększonym, że mało kościołów, w samej nawet stolicy rzeczypospolitej (Bogotá), może z nim współzawodniczyć.

„Księdzu Unia zawdzięczacie następnie *kaplicę świąteczną*, co dopiero powołaną do życia. Tu wasze dziatki, bez różnicy stanu, będą się zgromadzać; tu znajdą zawsze godziwą rozrywkę łącznie z nauką wiary i obyczajów; ustrzegą się złych przykładów, jakie mogłyby mieć na oczach, zwłaszcza w dni świąteczne. Nie mało trudów i zachodów kosztowało księdza Unia wzniesienie tego budynku, który dla synów waszych stanie się rozsadnikiem cnót religijnych i obywatelskich.

„Największe jednak dobrodziejstwo, jakie zawdzięczacie księdzu Unia, to zmiana, jaka się za jego sprawą w was dokonała, odkąd wpośród was zagościł, czyto pod względem moralności, czy też ścisłego wypełniania obowiązków religii. Znajduję tu w stanie kwitnącym *Bractwo nieustającej adoracyi Najśw. Sakramentu*. Pan nasz i Zbawiciel, w Najśw. Sakramencie utajony, znajduje tu teraz dusze żarliwe a wierne, które nie opuszczają go od rana do wieczora. Jakże drogiemi muszą być Chrystusowi Panu wasze modlitwy, które codziennie z takiem przejęciem się zanosicie do Niego!

„Jest tu dalej *Towarzystwo Córek P. Maryi*, jak również *św. Alojzego*. Pod tymi dwoma sztandarami gromadzi się wszystka dziatwa i młodzież płci obojga w Agua de Dios. Ileż lilii niewinnych byłoby marnie zwiędniało, gdyby nie były bez przestanku zraszane rosą łask i błogosławieństw niebieskich, tak hojnie przez *Świętą Pannę nad Pannami* oraz *św. Alojzego* u Pana Boga wypraszanych! Podobnież *Towarzystwo św. Józefa* liczy sporo pomiędzy wami członków i krzewi się coraz bardziej, z wielkim dla dusz waszych pożytkiem.

„Inna jeszcze sprawa leżała naszemu ukochanemu księdzu Unia bardzo na sercu, a było nią wystawienie *schroniska* dla biednych i opuszczonych chłopców w Agua de Dios na to, by ich tam przygarnąć, wyuczyć jakiego rzemiosła przynajmniej takich, którzy nie byli jeszcze tak dalece trądem ubezwładnieni, by nie mogli się już pracą ręczną zajmować, — a w ten sposób ustrzedz ich od próżnowania i występków, jakie toż za sobą niechybnie pociąga.

*) = pieniądz, wartości 20 *fenygów* (25 *halerzy*).

„Atoli śmierć nieubłagana nie dozwoliła mu wykończyć tego dzieła, które niezawodnie wyszłoby na wielką korzyść, a zarazem stanowiłoby niespożyty tytuł chluby ludności w Agua de Dios. Pracownika tyle niezmordowanego, waszego ojca i przyjaciela, doradcy i dobroczyńcy, już niema na tej ziemi: Pan Bóg powołał go do Siebie, aby chwałą wieczną zapłacić mu za wszystkie trudy, jakie poniósł z miłości ku Niemu a dla pożytku swych bliźnich.

„Nie jest tu obecny ciałem, ale sercem bez wątpienia znajduje się pomiędzy nami. Oby pamięć jego nigdy nie zatarła się w sercach waszych! Pamiętajcie o nim przedewszystkiem w modlitwach waszych. Sprawiedliwość Boska jest tak surową, że nawet Święci Pańscy jej doświadczyli, przechodząc straszny ogień czyscowy; bądźcie zatem wielkoduszni i nie zapominajcie nigdy o księdzu Unia, który był wam wszystkiem: ojcem, przyjacielem, niestrudzonym doradcą i po Bogu największym dobroczyńcą!“

Niepodobna opisać wrażenia, jakie kaznodzieja wspomnieniem swojem pośmiertnem wywarł na licznie zgromadzonych słuchaczach: wszyscy płakali, wzruszenie było widocznem na wszystkich twarzach. Był to publiczny, uroczysty objaw gorącego przywiązania i niewygasłej miłości, jaką biedni trędowaci pałali ku księdzu Unia. Wszechmogący Bóg, który nam zabrał pracownika tak niezmordowanego, nam wszystkim tyle drogiego, a od chorych, którymi z taką zajmował się pieczołowitością, tak wielce umiłowanego, oby wzbudził nowych pracowników, którzyby dokończyli dzieła, przez niego tak szczęśliwie rozpoczętego! *Fiat! fiat!*

X. Ewazy Rabagliati.

P.S. *Towarzystwo św. Łazarza* i *Dobroczynności*, skoro tylko dowiedziały się o śmierci X. Unia, uchwaliły umieścić w lazarecie w Agua de Dios tablicę marmurową z odpowiednim napisem, oraz podobiznę zmarłego. W ten sposób trędowaci będą mieć przed oczyma, razem z dziełami dokonanemi, także wizerunek tego, który za życia stanowił ich rozkosz i największą pociechę.



ŁASKI

WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ

NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY

WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Najśw. Marya Panna, Wspomożenie Wiernych, ochrania od ospy trędowatych z *Agua de Dios*. — W liście, datowanym z dnia 12^go grudnia 1896 r., pisze dyrektor domu salezyańskiego w Agua de Dios, X. Rafał Crippa (następca księdza Michała Unia), co następuje:

Liczba trędowatych, umieszczonych w lazarecie tutejszym, dochodziła w sierpniu b. r. do 850; obecnie mamy ich przeszło 1250. Aby ich wszystkich módz jako tako pomieścić, trzeba było zużytkować każdy kąt i ścieśnić już i tak szczupłe nad wyraz stancye, zajmowane przez chorych. „*Jakoś to będzie,*“ powtarzałem sobie, „*zarazić się przecież nikt już nie zarazi, boć wszyscy mają równie trąd na sobie.*“

Aż oto w październiku b. r. wybuchła w najbliższej okolicy zaraźliwa ospa; w zwycięskim pochodzie zagarnęła naokół wszystkie pobliskie miasteczka i osady, zdziesiątkowała ludność, wdarła się do naszego nawet szpitala.

Można sobie wystawić nasze przerażenie na widok grożącej nam i z każdym dniem coraz to bardziej szalejącej epidemii. Ażeby choć w części zapobiedz szerzeniu się w naszym lazarecie tej strasznej choroby, trzebaby było oddzielić takich, którzy już ospy się byli nabawili, od drugich, którzy od niej byli jeszcze wolni, poumieszczać wszystkich w obszernych, należycie i często przewietrzanych stancyach, a zwłaszcza poddać ścisłej kwarantenie takich biedaków, którzy już stali się ofiarą epidemii i t. d. Nie mogłem jednak tych środków użyć, a to dla zupełnego braku miejsca.

Do kogoż się udać w tak krytycznem położeniu? Od ludzi nie mogłem się spodziewać żadnej pomocy, uciekłem się więc o pomoc do Matki naszej i Opiekunki, Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki. Zapowiedziałem publiczną procesyę, ze statuą P. Maryi Wspomożycielki i wezwałem wszystkich, zdrowych i chorych.

by wzięli w niej udział, — zdrowi osobiście, chorzy zaś przynajmniej sercem. Na czele postępowały Siostry P. Maryi Wspomożycielki, dalej szło bractwo św. Józefa, Najświętszego Sakramentu i Towarzystwo św. Alojzego.

Potężna Wspomożycielka chrześcijan, jeżeli dla wszystkich bez wyjątku jest miłościwą matką, to tem bardziej raczyła się nią okazać dla nieszczęśliwych trędowatych. Od owego bowiem dnia i od owej błagalnej procesyi ospa ustała całkiem w Agua de Dios. Ci, którzy już jej byli ulegli i z dnia na dzień oczekiwali śmierci, począwszy od owego dnia i godziny zaczęli się mieć coraz lepiej, a wreszcie wyzdrowieli co do jednego. Odtąd nie było nowego wypadku ospy, tak iż obecnie lazaret nasz jest całkiem od niej wolny.

Niech więc za łaskę tę nieskończone będą dzięki Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, która w sposób tak cudowny i wbrew ludzkim oczekiwaniom ustrzegła nas i obroniła od zaraźliwej choroby.

***

Matka Indyanina. — Dnia 3go grudnia ubiegłego roku (pisze nam z Viedma w Patagonii jeden z naszych misyonarzy) znajdowałem się właśnie w apteczce domowej, dając zlecenie naszemu farmaceucie, by przygotował kilka recept, gdy oto zjawił się pewien Indyanin, przychodzący wprost z pustyni (*Pampa*), nazwiskiem Manuel Godoy, mogący mieć około 40 lat, i głosem drżącym, ze łzami w oczach, zaczął mi opowiadać w swojem narzeczu (zawsze, rozumie się, w *infinitivus* = trybie bezokolicznym), co następuje:

„*Ja przychodzić szukać mojej matki; ja być mocno zasmuconym, panie doktorze, ponieważ utracić matkę.*“

Patrzałem na niego ze zdziwieniem, nie mogąc wyrozumieć, czegoby odemnie właściwie żądał, on zaś mówił dalej:

„*Syn mój, Anaklet, liczący trzy lata, przeszłego roku ciężko zachorować, nie oddychać już prawie, a moja matka oddać mi go uzdrowionego. Przedwczoraj mój synaczek zabłąkać się gdzieś i przez dwa dni i dwie noce ja nie módz go znaleść. Pewien człowiek, polując na strusie, znaleść go w odległości* **3 leguas** (*= 15 klm.*). *Syn mój trzymać w ręku matkę i zaraz ją pokazać myśliwemu. Ten, nie wiedząc, coby to było za dziecko, wziąć je do swego mieszkania, odległego od mojej chaty tylko o jedną* **legua**. *Ja cały czas płakać, bom stracić matkę i być pewnym, że ona nie zwrócić mi więcej mojego dziecka. Trzeciego jednak dnia przyjść mi natchnienie, by się udać do mieszkania tego myśliwca i tam z radością znaleść mego syna zdrowego, trzymającego w ręku matkę i pokazującego mi ją z radością wielką.*“

Tu potrzeba mi wytłómaczyć, o co Indyaninowi temu chodziło, by pojąć, jak żywą miał wiarę i jak wielką Matka Najświętsza Wspomożycielka wyprosiła mu u Pana Boga łaskę.

Matką nazywał on medalik Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, jaki przed kilku laty otrzymał był od X. Dominika Milanesio. Jeden taki medalik zawiesił sobie na szyi, a drugi synowi. Syn jego, niedawno temu był śmiertelnie chorym, a Matka Najświętsza cudownie go uzdrowiła. Teraz zabłąkał się gdzieś w stepie, a ponieważ jemu (tj. ojcu) równocześnie stracił się był medalik, sądził więc, że postradawszy *matkę*, nikt mu już nie zdoła odnaleść zagubionego dziecka.

„*Jestto oczywistą prawdą,*“ mówił, „*bo Matka nie oddała mojego syna mnie, lecz owemu myśliwemu. Przychodzę zatem do pana doktora z prośbą o inny medalik* (= **Matkę**), *ażeby, gdy mnie znowu spotka jakie nieszczęście, mieć u Niej i przez Nią pomoc zapewnioną.*“

Można to istotnie uważać za prawdziwy cud, że się chłopiec odnalazł, a zwłaszcza, że nie poniósł wcale na zdrowiu szwanku: błąkał się bowiem bez jadła i napoju przez całe dwa dni i dwie noce po pustyni. Myśliwy, który go trafem na stepie spotkał, opowiadał, że kiedy się do niego zbliżył, trzechletnie to maleństwo wyciągało do niego rączki, pokazując mu medalik Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.

Wzruszony jego opowiadaniem nietylko mu dałem kilka medalików, ale dołączyłem jeszcze kilka krzyżyków, a wtenczas jakżeż on się cieszył! Całował medaliki, płakał ze wzruszenia i wołał:

„*Teraz dopierom szczęśliwy, gdyż posiadam znowu Matkę!*“

Płakałem i ja ze wzruszenia, widząc tyle żywej wiary w biednym Indyaninie.

O! iluż to łask, otrzymanych za pośrednictwem Najświętszej Wspomożycielki, byłem naocznym świadkiem w tych okolicach przez ostatnich siedm lat, odkąd spełniam tutaj obowiązki lekarza! Chorych, których opatrujemy w naszym lazarecie, jest stale około dwudziestu. Ci, jak również chorzy w szpitalu w Viedma i Patagones, nie pozostawiają mi ani chwili wolnej. Wśród tylu zajęć jedyną moją po-

ciechą i otuchą jest bezustanna pomoc, jakiej widocznie, a nawet prawie namacalnie doznaję od Matki Boskiej Wspomożycielki. Niech zatem i z tych odległych krańców ziemi wzniosą się na Jej cześć nieskończone dzięki!

Pobłogosław, drogi Ojcze, mnie i moich chorych i poleć nas wszystkich Opiece Matki Najświętszej, królującej na kopule Swego kościoła na Valdocco w Turynie.

X. Ewazy Garrone,
misyonarz salezyański.

***

Cudowny skutek medalika Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. — „*Jeżeli Matka Boska mnie nawróci . . . , w takim razie powiem, że jest rzeczywiście Mistrzynią nielada!*“ W te słowa odezwał się niedawno temu pewien chory do swojej siostry, która wszelkich dokładała starań, ażeby go nawrócić. Przybył on do Turynu, aby tam ukończyć nauki; zanim jednakże zdołał zamiar swój wykonać, utracił zdrowie, a obecnie znajdował się w stanie, nie dającym najmniejszej nadziei wyzdrowienia. Wychowany przez pobożną matkę, przepędził pierwsze lata swego życia w bojaźni Bożej, lecz później, wdawszy się z niegodziwymi kolegami i prowadząc życie hulaszcze, razem ze zdrowiem utracił także wiarę.

Siostra jego, widząc to jego gorszące prowadzenie się, opuściła dom rodzicielski i składając Panu Bogu, w zamian za duszę swego brata, z życia swego ofiarę, wstąpiła do zakonu Sióstr Miłosierdzia w Medyolanie. Podczas gdy w zaciszu klasztornem życie jej spokojnie upływało wśród ustawicznych zajęć i modlitwy, otrzymała naraz z Turynu list następującej treści:

„*Kochana siostro! Jestem chory i życie mnie poprostu nudzi. Gdybyś tak przybyła mnie tu pielęgnować, możebyś mnie jeszcze jako potrafiła odwieść od palnięcia sobie w łeb, na co się na seryo już zanosi. Uprzedzam jednakże, że jeżeli się zdecydujesz przyjść do mnie, musisz wpierw złożyć habit, który z całej duszy nienawidzę, i spełniać przy mnie usługi nie jako siostra, lecz prosta służąca. Twój kochający cię brat.*“

Można sobie wyobrazić, jakim bólem przejął ten list serce biednej zakonnicy. Udała się natychmiast do swej Przełożonej i zdając się zupełnie na jej wolę, spytała, jak sobie w danym razie postąpić.

—„Droga córko,“ odrzekła jej Matka Przełożona, „jabym ci radziła, byś poszła do brata. Może przyczynisz się do zbawienia jego duszy. Widać ze wszystkiego, że w gruncie cię miłuje, a zatem . . . . kto wie . . . .“

I wznosząc oczy do nieba, dodała z westchnieniem:

—„Może ofiara, jaką Panu Bogu z życia swego składasz, zbawi jego duszę.“

Umilkła na chwilę, jak gdyby obawiała się wypowiedzieć myśl, która w tejże chwili jej się nasunęła, dodała jednak:

—„Wiesz, że reguła zakazuje nam (jak to się zresztą dzieje także po innych zakonach) przyjmować powtórnie taką Siostrę, która z jakiegobądź powodu z klasztoru wychodzi, złożywszy suknię zakonną . . . .“

Biedna zakonnica ze łzami w oczach wysłuchała tych słów.

—„Matko, cóż zatem mam począć? Sama ze siebie nie chcę o niczem stanowić. Uczynię to, co Matka mi doradzi. W ten sposób ufam mocno, iż Pan Bóg przyjmie moje posłuszeństwo.“

—„Ja na twojem miejscu udałabym się do brata,“ odpowiedziała Przełożona. „My tu również wszystkie będziemy się modlić za powodzenie twego zbożnego przedsięwzięcia, ażeby Matka Najświętsza . . . .“

—„Lecz potem?“

—„Droga córko! Reguła w tym punkcie jest jasną, a ja nie mogłabym dla ciebie zrobić żadnego wyjątku.“

Biedna siostra chorego niedowiarka schyliła głowę w pokorze i tylko sercem prosiła Boga o światło. Następnie, zwróciwszy się do Przełożonej rzekła:

—„Dziękuję Mateczce za doradę . . . . Proszę wszystkie Siostry o gorącą modlitwę za mną, gdyż czuję, jakoby wewnątrz mnie dwie siły toczyły ze sobą walkę. Z jednej strony miłość, jaką mam dla brata, woła mnie ku niemu, z drugiej znowu miłość Pana Boga każe mi nie porzucać stanu, do jakiego, kierując się głosem wewnętrznym, wstąpiłam. Lecz Pan Bóg będzie ze mną, idę bowiem do Turynu jedynie po to, by przyczynić się, ile tylko sił starczy, do wyrwania duszy mego brata ze szponów szatana.“

Po tych słowach padła przed swoją Przełożoną na kolana, otrzymała na drogę jej błogosławieństwo i puściła się zaraz w drogę do Turynu. Ktoby ją był widział, jak z oczami spuszczonemi ku ziemi, zamyślona i smutna, udawała się na dworzec kolei żelaznej, byłby ją pomimo świeckiego ubrania wziął za zakonnicę.

Wysiadłszy w Turynie na dworcu *Porta Susa*, zapytała się towarzyszki podróży, która

na tej samej stacyi wagon opuściła, którędy należało iść, by dostać się na ulicę *Regina Margherita.*

—„Niech Pani idzie wprost przed siebie przez *Corso di S. Martino*, potem *Corso del Principe Eugenio*, a wyjdzie na ulicę *Regina Margherita.*"

—„Czy to daleko stąd?"

—„Za jakie pięć minut będzie Pani na miejscu."

—„Dziękuję."

Przybywszy na ulicę *Regina Margherita* i słysząc dźwięk dzwonów, podniosła na chwilę oczy i ujrzała przed sobą kościół Panny Maryi Wspomożycielki, uderzył ją zwłaszcza wysmukły, błyszczący, daleko widny posąg Królowej nieba i ziemi, jaki się wznosi na kopule świątyni.

—„Panno Najświętsza!" wyszeptała, „zlituj się nademną i nad bratem moim. Okaż się litościwą Matką nam biednym sierotom!"

Odszukawszy z łatwością dom, w którym mieszkał brat, po kilku chwilach stanęła przed nim.

Oczekiwał jej już od pewnego czasu i niecierpliwił się z powodu zwłoki. Przyjął ją zimno, widząc ją jednak tak uległą i czując to dobrze, że poświęca się dla niego, uczuł w pierwszej chwili jakby pewne uszanowanie dla siostry. Wnet atoli, uważając przelotne to wrażenie jako słabość, niegodną mężczyzny, odezwał się szorstko:

—„Moja kochana! jak widzisz, ze mną źle się rzeczy mają. Jeżeli jednak chcesz mnie pielęgnować, to nie mam nic przeciw temu, ale tylko pod jednym warunkiem: nie wspominaj mi nigdy o spowiedzi i tym podobnych rzeczach. Wiedz dalej, że jesteś moją służącą, a niczem innem i że odpowiednio do tego powinnaś się zachowywać, bądź wobec mnie, bądź wobec osób, jakie mnie przyjdą odwiedzić."

—„Jestem gotowa na wszystko. Będę się zachowywała wobec ciebie, jak gdybym miała do pielęgnowania naszą matkę ukochaną, która umierając zaklinała nas, byśmy się miłowali jak brat i siostra."

—„Nie przywódź mi na pamięć rzeczy, których nie chcę ani słyszeć!" zawołał brat. „Precz z babskiemi fochami! W przeciwnym bowiem razie musiałbym . . ."

Nie skończył zdania, może być, ponieważ wbrew woli wzruszyło go wspomnienie matki, z czem nie chcąc się przed siostrą zdradzić, odwrócił się i przeszedł do drugiego pokoju.

Po kilku dniach rzeczy zaczęły się dla naszej zakonnicy układać nieco pomyślniej. Zdrowie brata wprawdzie się nie polepszyło, zostawił jednakże siostrze, którą wszyscy uważali za służącą, dosyć wolnego czasu.

—„Co ty tam robisz przy oknie?" zapytał się jej chory pewnego razu.

—„Patrzę na posąg Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki na kopule kościoła na Valdocco."

—„I modlisz się niezawodnie o moje tak zwane nawrócenie, nieprawdaż? No, niedoczekanie twoje. Jeżeli jednak ta twoja Matka Boska Wspomożycielka zdoła mnie przemienić, w takim razie powiem, że jest rzeczywiście Mistrzynią nielada."

—„Przekonasz się jeszcze sam, że nią jest istotnie: zobaczysz. Zresztą nie ja sama tylko modlę się za tobą. I ty również, jak tylu innych, za przyczyną Najświętszej Dziewicy odzyskasz utraconą wiarę i będziesz znowu tak dobrym, jakim byłeś w dzieciństwie."

Szyderczy śmiech, którego następstwem był gwałtowny atak suchotniczego kaszlu, był jedyną odpowiedzią nieszczęśliwego.

Kiedy następnie choroba weszła już w groźniejsze stadyum, a on dla różnych powodów postanowił przenieść się z pomieszkania do szpitala św. Alojzego, musiała mu siostra towarzyszyć także tam, ciągle oczywiście w charakterze sługi.

Takimi to nieraz samolubnymi tyranami stają się ci, którzy utracą wiarę!

W szpitalu, widząc krzątające się około siebie Siostry św. Wincentego a Paulo, cierpliwe bez granic, delikatne, zawsze z pogodną, lekko uśmiechniętą twarzą, które mu w jego cierpieniach dodawały otuchy i zachęcały, by zwłaszcza ufność położył w Najświętszej Pannie, odpowiadał im z jednakową wzgardą, że nie wierzy w nic i że nikt w świecie go nie przekona o prawdziwości wiary.

Siostra jego miała teraz nieco więcej wolnych chwil, co rano więc, a często nawet w ciągu dnia, udawała się do kościoła Najświętszej Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych.

Pewnego razu sądząc, iż brat śpi, chciała mu pod poduszkę włożyć medalik Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki. W tej chwili chory otworzył oczy i widząc ją nieco zmieszaną, rzekł:

—„Co ty chcesz robić? Biedaczko ty, jak ty się dobrze ze mną obchodzisz, podczas gdy ja . . ."

Nie skończył zdania, gdyż silny atak kaszlu przerwał mu mowę.

—„Słuchaj," ciągnął po chwili dalej, „co mi się śniło przed chwilą. Zdawało mi się, jakobym był w domu rodzicielskim, gdyśmy

to jeszcze oboje — dwa małe podrostki — stanowili rozkosz i pociechę naszej ukochanej matki . . . . Naraz nieboszczka matka przybrała surowy wyraz twarzy i rzekła mi: Synu! takżeto obchodzisz się z własną siostrą? Nie jesteścież obaj rodzeństwem? . . . A potem prawie łkając zawołała: to co mnie jednakże najwięcej boli, to twoja bezbożność. Gdybyś w tej chwili umarł, zgubiłbyś się na wieki. Patrz na twoją siostrę . . . . Wtenczas spojrzałem na ciebie. Byłaś jakoby pokrytą jaśniejącym welonem, a w ręku trzymałaś medalik i pokazywałaś mi go, mówiąc, że Matka Boska mnie uszczęśliwi . . . . Wtedy obudziłem się i widziałem, jak chciałaś mi właśnie włożyć pod poduszkę medalik . . . . Dajno mi ten medalik, gdyż czuję, że coś dziwnego we mnie nastąpiło i że jestem zupełnie zmienionym . . . . . Każ mi zawołać także księdza kapelana; chciałbym z nim pomówić, a tyle, tyle rzeczy mam mu do powierzenia.“

Płakał głęboko wzruszony i gorącymi pocałunkami okrywał medalik Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.

—„Siostro! droga siostro!“ wołał łkając i kaszląc naprzemian, „chcę koniecznie widzieć matkę w niebie, lecz już wesołą, uśmiechniętą, nie tak surową, jak we śnie!“

Po chwili wszedł do pokoju X. kapelan, a widząc go tak dobrze usposobionego i gotowego do odprawienia spowiedzi z całego życia, pełnem sercem dzięki składał Panu Bogu i Matce Najświętszej za tak cudowne nawrócenie niedowiarka. Chory zmienił się od razu, i to we wszystkiem. Przedstawił swoją siostrę zakonnicom, opowiedział im, kim jest i polecił ją ich opiece; następnie przygotował się przykładnie do przyjęcia Komunii św. i Ostatniego Namaszczenia.

—„Siostro, ty potrafisz rozmawiać o Panu Bogu i rzeczach Bożych; mów mi o Nim jak najwięcej, gdyż wielką mi to sprawia przyjemność. Ach! jakbym się czuł teraz szczęśliwym, gdybym to już dawniej był uczynił.“

Po upływie kilku dni, gdy zakonnice, zbudowane jego zachowaniem się, skupionem i poważnem, i przykładną pobożnością, zbliżały się do jego łoża, żeby go wspólnie z siostrą tem więcej utwierdzać w cierpliwości i poddaniu się woli Bożej i z uśmiechem się zapytywały:

—„Nieprawdaż, że Matka Boska jest istotnie Panią serc i Mistrzynią nieladą?“ odpowiadał im, choć z wysiłkiem tylko dobywał już ze siebie głosu:

—„Mówcie to, powiadajcie to wszystkim, by w każdej potrzebie uciekano się do Najświętszej Panny i że ja sam tego doświadczyłem na sobie.“

Uszczęśliwiona siostra pozostała przy bracie aż do jego skonu; poczem zajęła się pogrzebem i odprowadziła zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Gdyby mnie zaś kto zapytał, czy po śmierci brata wróciła do zakonu, by służyć Bogu w życiu doskonalszem, odpowiedziałbym mu, że Najświętsza Marya Panna wzięła ją na nowo za swoją córkę, i to za szczególniejszym wyjątkiem, do tego samego zakonu, z którego na chwilę była wyszła, a do jakiego chętnie napowrót ją przyjęto, dowiedziawszy się, w jakim celu go była opuściła i jak Wszechmogący Bóg za przyczyną Najświętszej Wspomożycielki cudownie wynagrodził jej ofiarę z własnego życia w zamian za duszę brata.

⁂

Cześć i chwała niech będą zawsze Najświętszej Wspomożycielce! — Doznawszy łaski, o którą Najśw. Pannę, Wspomożenie Wiernych, byłam prosiła (syn mój zdał tak świetnie egzamin państwowy, że jednogłośnie został uznanym za uzdatnionego), posyłam mój skromny datek na cele zakładów X. Bosko, w ilości 20 złr.

Jestto łaska wymodlona, syn bowiem miał tyle przeszkód w naukach, iż pomimo jego zdolności pewną byłam, iż w egzaminie przepadnie. Czterech polakożerców egzaminowało go ściśle i podchwytywało na wszystkie strony: szczególniej dwaj profesorowie (z prawa rzymskiego i kanonicznego) jak gdyby uwzięli się, ażeby go „spalić;“ syn mój jednakże odpowiadał z takim spokojem, pewnością i znajomością przedmiotu, że jednogłośnie uznanym był za uzdolnionego. Dodam jeszcze, że położenie utrudniała obecność 40 kolegów Niemców, drwiących i czychających na pomyłkę.

Niechże więc za tę, jak i za wszystkie inne, dotąd otrzymane, łaski, będzie cześć i chwała Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych!

Sokal (Galicya).

W. K.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.